

# Cudna mieszczka



WIKTOR GOMULICKI

# Cudna mieszcza

OBRAZEK WARSZAWSKI Z WIEKU XVII

## I. SERENADA

— Tędy, Fabio! Tędy, Luka!

— *Corpo di Bacco*<sup>1</sup>! O małym nie runął przez jakieś ciało parszywe, co w poprzek drogi leżało!

— Pies pewnie...

— Pewnie! Żyd.

— Kolnij nożem — przekonasz się. Jeśli pies — zawyje; jeśli dusza niechrzczona — zakwicz...

— Ciszej, kamraci<sup>2</sup>. Ty, Luka, brzuch wciągnij, a ty, Fabio, trzymaj się murów i nie schodź na środek. Księżyc zdradzić nas może.

— Rzuciłbyś do biesa<sup>3</sup> tę komedię, przyjacielu Giano! To nie Wenecja!

— Więc cóż! Piękne niewiasty są wszędzie, a nad Wisłą więcej ich niż nad lagunami.

— Mówisz jak półgłówek. Dodaj, że Warszawa od Wenecji piękniejsza, a będę cię miał za skończonego wariata.

— Nie kłóćcie się. Otośmy na rozstaju. Niech Giano gada teraz: w prawo czy w lewo?

Zamilkli i w miejscu stanęli. Byli u wylotu ulicy Baryczkowskiej wprost targu rybnego. Przed nimi leżał placyk kwadratowy, przez pół biały od księżyca, przez pół czarny od mroku. Z dwóch stron placyku stały kamienice; w głębi ciągnął się mur wysoki, zębaty, w równych odstępach basztami półokrągłymi najeżony.

Z trzech ludzi, rozmawiających po włosku, wysunął się najwyższy, któremu było na imię Giano. Wysunął się i jął<sup>4</sup> niespokojnie patrzeć dokoła.

Zawinięty był w płaszczyk lekki, spod którego wyglądały nogi w femuralach<sup>5</sup> barwistych. Na głowie miał berecik z piórem czerwonym. Spod berecika wymykały się długie, czarne, na szyję spadające włosy.

Towarzysze byli również z włoska, choć mniej strojnie ubrani. Jeden gruby, beczkowaty, wyglądał jak tocząca się kula. Drugi zdawał się suchotnikiem.

Giano spojrział bystro w jedną i w drugą stronę, i cofnął się z pośpiechem pod wystający okap muru.

— He? — spytali tamci.

— Bacność — szepnął — ktoś nadchodzi.

Dunajem toczyło się dwóch kumów<sup>6</sup> pod dobrą datą<sup>7</sup>. Szewcy pewnie albo cieśle — w szarych kubrakach obydwu, z czapkami przekrzywionymi. Jeden patrzył w księżyc i podśpiewywał, niezbyt głośno zresztą:

Szarszan zardzewiał<sup>8</sup>  
Z poszew opadały,

<sup>1</sup>*corpo di Bacco* (wl.) — dosł. na ciało Bachusa (przekleństwo). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*kamrat* — kolega, kompan, towarzysz. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*bies* (daw.) — diabeł. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*jąć* — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*femuraty* (z łac. *femur*: udo) — krótkie, obcisłe spodnie, przylegające do uda. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*kum* — tu: kolega, sąsiad. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*pod dobrą datą* (daw., pot.) — nietrzeźwy, pijany. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*szarszan* — rodzaj szabli. [przypis edytorski]

Kijec granowity<sup>9</sup>,  
Harkabuz<sup>10</sup> nabity...

Drugi patrzył w ziemię i pluł na prawo i na lewo.  
Gdy byli już blisko, weselszy z dwóch zaśpiewał głośniejszy:

Mazurowie naszy<sup>11</sup>  
Po jaglanej kaszy  
Jak sobie podpija,  
Wnet chłopa zabijają...  
Hu — ha!

Staął i w miejscu się okręcił.

Nagle wzrok jego padł na trójkę stojącą pod murem. Zajął go bardzo. Przyglądał się jej pilnie, oczy mrużąc i uśmiechając się; potem palec wysunął przed siebie i usta otworzył.

— Włoskie małpy! — krzyknął w głos i śmiechem wybuchnął głupim.

Ale drugi w tejże chwili dał mu w bok kulaka<sup>12</sup>.

— Królewscy! — rzekł mu do samego ucha.

Uspokoilo go to od razu. W jednej chwili spowaźniał, przygarbił się, zmalął. Czapkę z głowy ściągnął i mówił:

— *Laudetur*<sup>13</sup>.

— *In saecula...*<sup>14</sup> — odrzekli Włosi.

— Ja... — bąkał onieśmielony, kłaniając się, z odkrytą wciąż głową — ja panów Włochów od serca miłuję... Panów Szwedów także... I panowie Niemcy moi bracia... Powiedziano: miłuj bliźniego swego...

Towarzysz pociągnął go za rękaw, przerywając orację. Opierał się trochę, w końcu ustąpił. Odchodząc, jeszcze raz skłonił się pokornie.

— Wydostań brzuch, Luka! — zawołał Giano wesoło. — Niebezpieczeństwo minęło.

Grubas wysunął się spoza skarpy, do której przylepiony był jak nietoperz.

— Oj, Giano! Giano! — mówił płaczkliwie — szukasz ty guza własnowolnie.

— Na swoją głowę i na naszą! — dodał płaczkliwiej jeszcze Fabio.

— Tchórze! — wykrzyknął Giano. — Złękli się dwóch szewców pijanych.

— Ba! Mogła to być szlachta!...

— Albo pancerni!...

— Giano, pieścoto weneccjanek! Przyjaciel tobie mówi: wróć się!...

— Giano, słowiku z Lido<sup>15</sup>! Kamrat ciebie ostrzega: wróć się!...

Smukły Włoch głowę unióś — oczy mu zapłonęły...

— Nigdy! — rzekł z mocą. — Ach! Wy nie wiecie, jaka ona piękna. Róża przy niej jest pokrzywą, brylant krzemieniem, słońce świeczką łożową...

— Pi, pi, pi!... — zadziwił się Fabio.

— Kiedym ją po raz pierwszy ujrział... takt w śpiewie zgubiłem. Zdawało mi się, że to z ołtarza anioł zstąpił i siadł w ławce z książką do modlitwy. Od tego dnia nie sypiam. Kiedy wy wszyscy, winem nalani, w najlepsze chrapiecie, otwieram okno, na księżyc patrzę i wołam z głębi serca: „Barbaro! Barbaro!”

— Ona nie dla ciebie... — mruknął Luca.

Giano rzucił się, jakby go sztyltem pchnięto. Oczy mu dziko błysnęły; usta wykrzywił kurcz; pod czarnym wąsem zabieliły się wyszczerzone zęby.

— Jeśli nie dla mnie — syknął — to i dla nikogo!

Towarzysze spojrzeli po sobie. Oczy ich mówiły: „Już z nim nikt nie poradzi...”

<sup>9</sup>*granowity* — graniasty, kanciasty. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*harkabuz* a. *arkebus* (z fr.) — strzelba lontowa, gładkolufowa, używana od XV do XVII w. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Mazurowie naszy (...)* *Hu-ba* — popularna piosenka z XVII w. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*dać w bok kulaka* — trącić pięścią (*kulakiem*) w bok. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*laudetur* (łac.) — niech będzie pochwalony. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*in saecula* (łac.) — na wieki. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*Lido* — niewielka wyspa w pobliżu Wenecji. [przypis edytorski]

— Idźmy! — odezwał się z rezygnacją grubas.

— Idźmy! — powtórzył jak echo suchotnik.

Giano uspokoił się, ale mu bladeść na twarzy została. Skinął na kamratów i poprowadził ich przez plac, po stronie cienia. Potykali się o wielkie, płaskie kadzie, poślizgiwali na wilgotnych i szlamem pokrytych kamieniach. Woń ryb zepsutych uderzała ich ponownie. Nad głową słyszeli łoskot suchych, poruszanych wiatrem sztokfiszów, które wywieszono na znak ponad kramami.

Minawszy targ rybny, skręcili w prawo. Giano prowadził ich teraz wąskim przejściem wzdłuż muru. Pełno tu było gruzów; rosły też osty i inne zielska. Niebawem ujrzeni przed sobą potężny czworobok Bramy Nowomiejskiej. Osadzony mnóstwem przystawek, daszków, wykuszów, wieżyczek małych i okratowanych okienek, wyglądał jak maczuga krzemieniami nabijana.

— Kto idzie?! — krzyknął pacholek trzymający straż w bramie i halabardą brzęknął o kamienie.

Ale zaraz, poznawszy „królewskich”, uspokoił się i w głąb cofnął. Na ławie kamiennej stał tam dzban niepróżny, a przy nim kilku wojaków w kości grało...

— Przekłète Włoszyska! — mruknął spluwając. — Zawdy<sup>16</sup> to ma po nocy robotę!

— Wiadomo! — odezwał się kompan od dzbana. — Włoch i kot — czeladź<sup>17</sup> czar-towska!

Inni przeżegnali się z trwogą.

Giano z towarzyszami weszli na Krzywe Koło. Posuwali się z ostrożnością wielką, bo ulica była widna i cień wążuchny tylko paskiem ciągnął się wzdłuż kamienic. Co kilkadziesiąt kroków wymijając musieli kupy śmieci i nawozu. Środkiem ulicy, głucho pluszcząc, płynął ściek i na brudnej fali pozłotę niósł księżycową.

— O Wirgili! — szepnął Fabio ze smutnym uśmiechem, pokazując widok ten przy-jacielowi.

A Luka przeniósł oczy ze ścieku na towarzysza i zauważył:

— Jest strumień i pasterz jest piękny z fletnią. Niech wyjdzie Amaryllis, a będzie ekloga<sup>18</sup>...

Giano milczał — smutny i jakby martwy. Dopiero gdy stanęli u wejścia na Rynek, ożywił się. Wskazał kamienicę narożną, wąską a wysoką, i rzekł głosem drżącym:

— To tutaj...

Rynek w oświetleniu pełni księżycowej wyglądał fantastycznie. Jaskrawe światła i cienie grube klóciły się co krok ze sobą. Stojący na środku Ratusz rzucał kolumnę mroku tak wielką, że aż sięgała jasnych frontów kamienic. I były kamienice te podobne duchom czyścowym, które stopami wrosły w otchłań, ale na czołach mają już zorzy niebiańskiej jutrzeńkę.

Tu i owdzie znać jeszcze było ślady strasznego pożaru sprzed lat pięciu<sup>19</sup>. Na ogół jednak domy były piękne i strojne. W świetle księżycy pławiły się liczne figury kamienne, białe i barwione, stojące na gzymsach, wychylające się z wnęk i zdobiące narożniki. Na belwederkach<sup>20</sup>, obyczajem włoskim, stały kwiaty. Wiele kamienic miało fronty malowane w różne kolory; na niektórych połyskiwało złocenie. Gdzieniegdzie, mimo noc jasną, paliła się lampka przed wmurowanym w ścianę obrazem.

Nad wszystkim górowała smukła wieżyca Ratusza — niby maszt kamiennego korabia<sup>21</sup>, który senna cisza fal na miejscu osadziła.

Spało miasto; spali ludzie. Nie świeciło się ani w jednym oknie. Cisza była taka, że można było słyszeć skrzywienie blaszanej syreny, wykręcającej się na szczycie Ratusza, oraz miarowe stąpanie surmacza<sup>22</sup>, który chodził w kółko po galerijce wieżowej, wypatrując ogień i otrębując godziny.

<sup>16</sup>*zawdy* (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*czeladź* — służba; ogół służby zatrudnionej we dworze a. w domu. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*ekloga* — sielanka; pieśń opiewająca życie pasterskie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*ślady strasznego pożaru sprzed lat pięciu* — w 1607 roku pożar, zaproszony przez kuchnie polowe rozbite na rynku przez szlachtę, zniszczył wiele kamienic Starej Warszawy, groziło także zajęcie ogniem zamku (wówczas w trakcie rozbudowy). [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*belweder*, *belwederek* (z wł.) — dosł.: piękny widok; tu: balkon z widokiem na okolicę. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*korab* — statek. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*surmacz* (daw.) — trębacz; por. *surma*: trąbka alarmowa. [przypis edytorski]

Trójka Włochów wcisnęła się w wąski, spadzisty przesmyk, wiodący ku Białej Wieży. Dzięki to było miejsce i szpetne. Mrok gęsty zalewał je niby dno wąwozu. Postacie jakieś, nadejściem obcych spłoszone, poruszyły się i chyłkiem jęły uciekać. Nie wiadomo: zwierzęta czy ludzie...

Giano znał dobrze miejscowość. Postąpił śmiało kroków kilkanaście. Potem stanął, odwrócił się i w górę spojrział.

Uśmiech przemknął mu po twarzy. Chwył Fabia za rękę i rzekł:

— Patrz...

Wznosiła się przed nimi ściana wysoka, pełna okien i ganków, i od ziemi do szczytu blaskiem księżycowym zalana. Był to tył kamienicy narożnej. Na wysokości drugiego piętra znajdował się tam belweder ku Wiśle obrócony. Na belwederku stały wielkie donice z kwiatami; stało też kilka stołków niskich, skórą pokrytych. Przez szklane drzwi, wychodzące na ten taras małeńki, widać było światło.

— Nie śpi... — szepnął Giano ze wzruszeniem rozkosznym. Rękę jedną na sercu położył; palcami drugiej pocałunek w stronę okna oświetlonego posłał.

— *Ave*<sup>23</sup> — zawołał głosem miłości pełnym.

Zaraz potem towarzyszym miejsca jął wyznaczać. Fabia ustawił po jednej stronie ułka, Lucę po drugiej. Sam stanął pośrodku, nieco naprzód się wysunawszy.

Na dany znak wszyscy trzej odrzucili płaszcze.

Grubas dzierzył lutnię o długiej szyi, która mu aż ponad ramię wystawała. Cienkosz do ust podnosił fletnię wysmukłą. Giano trzymał w ręku niedużą mandolinę, na wstędze różowej przez ramię przewieszoną.

Przez chwilę stali w miejscach, nie poruszając się. Potem od razu w instrumenta<sup>24</sup> swe uderzyli.

Słodka przegrywka przez powietrze błękitne ku gwiazdom uleciała. Miękki głos fletu z pieszczonymi dźwiękami lutni i z perlowym strun mandolinowych szmerem złożyły się na jedno przeciągłe, lęklive westchnienie, które mówiło: „Kocham — och! — kocham...”.

W górze drzwi brzękły. Dwie postacie niewieście wyszły nieśmiało na belwederk i wśród kwiatów przysiadły. W księżycowej jasności na chwilę tylko błysnęły, gdyż zardrosna gąszcz liści zaraz je zakryła.

Wówczas Giano zaczął śpiewać. Głos miał tenorowy, aksamitny — jeden z tych głosów, które na kobiety jak narkotyk działają. Ciche akordy mandoliny biegły za pieśnią jego niby rój pszczoł o złotych skrzydełkach.

Giano śpiewał:

*Chi puo mirarvi  
E non lodarvi,  
Fonti del mio martiro:  
Begli occhi chiari,  
A me più cari  
Che gli occhi ond'io vi miro!*

Księżyc oświetlał go z boku, podnosząc świetność stroju, uwydatniając postać smukłą, gibką, węzową. Był piękny. Noc, pieśń, samotność otaczały go urokiem. Budził miłość i uosabiał ją.

Księżyc błyszczał coraz ognściej, śpiew wzbierał coraz większą namiętnością, kwiaty na belwederku coraz silniej drżały.

Nagle...

## II. OSTATNIA KROPLA

— A ja ci rzekę<sup>25</sup>: pij!

— A ja ci rzekę: w spokoju mię zostaw!

<sup>23</sup>*ave* (lac.) — bądź pozdrowiony/pozdrowiona. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*instrumenta* — daw. forma N.lm; dziś: instrumenty. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*rzekę* — dziś: mówię; por. czas. *rzec.* [przypis edytorski]

- Frasunek w kielichu utopisz...
- Oliwa na wierzch wypłynie...
- Wolisz truc się?
- Wołę...
- Mości Hała-Drała! Sam tu!

Spoza wielkiej beczki wylał człowiek zaspany. Oczy przetał, przeciągnął się, zapytanie niewyraźne mruknął. Wyglądał dziwacznie i zagadkowo. Miał na sobie kaftan zielony, stary i zaplamiony, ze śladami złocistego wyszywania. Głowę owiżywał szmatą brudną, podobną razem do zawoju, do feza i do zwykłej babskiej chustki.

Był to imć pan Ağa-Ablanowicz zowiący siebie Ormianinem, właściciel lochu z winami pod Ratuszem. Na jego śniadzie twarzy o wielkim, do dzioba kruczego podobnym nosie i o czarnych podłużnych oczach malowało się wyraźnie wschodnie pochodzenie. Malowało się też i chytróści niemało.

— Tokaju<sup>26</sup>? — zapytał wyciągając rękę po dzban, między dwoma biesiadnikami stojący.

— Waścin<sup>27</sup> tokaj z morawskiej lury fabrykowany! — rzekł drwiąco starszy z dwóch.

Zuchem on się zdawał, na ławie buńczucznie się rozpierał i pięścią w stół uderzał nieustannie. Wąs miał zadarty do góry, bródkę ze szwedzka przystrzyżoną, na głowie czapkę, lisim futerkiem oszytą.

Na przedzie czapki futerko tworzyło czub zadzierzysty, podnoszący jeszcze bardziej zawadiacki wygląd młodzieńca.

— Kalumnii<sup>28</sup> waszmość gadasz — odburknął Ormianin. — Toż do mnie szmekierowie<sup>29</sup> przychodzą, win próbują...

— Czerwieńce<sup>30</sup> biorą... — dodał tamten przedrzeźniając.

Ormianin ramionami wrzusił i z dzbanem do odejścia się zabierał. Młodzieniec zatrzymał go.

— *Varietas delectat*<sup>31</sup> — rzekł. — Utoż nam petercymentu<sup>32</sup>, mości Hała-Drała.

— Sługa waszmości.

— Ale strzeż się, by to nie był sok zaprawiony! Kata bym sprowadził, żeby beczkę pod pręgierzem rozbił. Jakem Szcerb, mości winiarzu, jakem Szcerb!

Ağa przyniósł gąsiorek z winem hiszpańskim, pieprzykowanym. Sam nalał w kubki, językiem mlasnął, oczy przymrużył...

— Takiego Włochy nie piją — rzekł z uśmiechem zagadkowym.

Młodszy biesiadnik na wspomnienie Włochów ocknął się z zamyślenia. Za jasną bródkę szarpnął się, wzrokiem dokoła potoczył i na gospodarzu go zatrzymał...

— Coście o Włochach mówili? — zapytał.

— Mówiłem, że Włoch do wina jak panna do szabli. Aby słodkie — o resztę nie pyta. *Dolce... dolce...*<sup>33</sup> jak sroka piszczy i jeszcze wodę dolewa. Obrzydliwość! Wczoraj byli u mnie dworscy...

Młodzian z jasną bródką drgnął.

— I cóż? — spytał, oczyma mówiącego świdrując.

— Pili mało-wiele<sup>34</sup>, ale siła<sup>35</sup> się nakrzyczeli. Wreszcie ten ich gaszek<sup>36</sup> wycackany<sup>37</sup>, co nań Dziano wołają, rzecze: „Panie Ablanowicz, postaw waść dla mnie beczkę małmazji<sup>38</sup>”

<sup>26</sup>tokaj — białe, deserowe wino węgierskie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Waścin — pański; por. *Waść*, tj. *Wasza Miłość*, daw. zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>kalunnia — oszczerstwo; fałszywe oskarżenie. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>szmekier (z niem.) — daw. pracownik służb celnych, poszukujący towarów pochodzących z przemytu. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>czerwieńce — czerwone złote. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>varietas delectat (łac.) — różnorodność bawi. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>petercyment — rodzaj słodkiego wina hiszpańskiego; nazwa od imienia i nazwiska Pedra Jiméneza. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>dolce (wł.) — słodkie. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>mało-wiele — trochę. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>gaszek — kawaler, chłopak. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>wycackany — wypielęgowany, wymuskany. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>małmazja — słodkie wino. [przypis edytorski]

co najprzedniejszej, bym miał co pić na swym weselu!” „Sinior<sup>39</sup> się żeni?” — pytam. Aż on w śmiech i wznosi pełną: „Za pomyślność jejmościanki panny Barbary! Za pomyślność mojej donny<sup>40</sup> teraz, a da Bóg i na zawsze!...”

Ława dębowa zatrzeszczała i na posadzkę runęła z łoskotem. Jasnowłose młodzian przewrócił ją, z miejsca się zrywając. Twarz mu krwią nabiegła, oczy złowrogo zabłyśły. Do Ormianina przyskoczył, za ramię go porwał, pięść zaciśniętą pod oczy mu wetknął...

— Łżesz<sup>41</sup> waść! — głosem wrzasnął ochrypłym.

Agła uciekł za beczkę...

— Jur! — zawołał biesiadnik w lisiej czapce. — Podobasz mi się. Na pohybel<sup>42</sup> Włochom!

Stuknął kubkiem o jego kubek, aż się na stół nieco wylało. Tamten nie wzdragał się teraz; wypił wino duszkiem jak wodę. Kubki powtórnie zostały napełnione i powtórnie je opróżniono.

— Na pohybel Dżianowi!

Jeszcze raz wypili.

Ale się Jur opamiętał. Kubek przewrócił, usiadł, o stół wsparł się łokciami. Temperament melancholijny wziął w nim górę nad chwilowym wybuchem. Patrzył bezmyślnie na rozlane wino i milczał.

— Ocknijże się! — zawołał starszy. — Grajkom nie damy się ograć. Jakem Szczerb!

— Wyżniki<sup>43</sup> mają w ręku...

— To i cóż! Daleko im do kozernego<sup>44</sup> króla!

— Kto wie...

Głowę niżej zwiesił, ramiona podniósł w górę.

— Myszkowski<sup>45</sup> z nimi — ciągnął smętnie — Bobola<sup>46</sup> z nimi... Pono już i do Mejerin trafili...

— Dziewki nie przekabacą!

— Kto wie...

— Ojca masz za sobą!

— Stary Szeliga daleko... Na morzach kędyś burzliwych — na oceanie... Bóg wie, kiedy powróci!

— Słowo ci dał...

— *Verba volant*<sup>47</sup>...

— A ciotka?

— Właśnież to najgorsze: ciotka mi krzywa<sup>48</sup>!

— O co?

— Bóg raczy wiedzieć. O herezję mię posądzają — żem to przeciw straceniu Tyszkowicza<sup>49</sup> gadał. Jezuitów w tym wietrzę...

— Uuuuu! — zaśpiewał przeciągle tamten, skrzywiwszy się, jakby co zgryzł gorzkiego.

<sup>39</sup>*sinior* (wł. *signor*) — pan. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*donna* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*łgąć* — kłamać; tu: forma 3.os.łp: *łżesz*. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*na pohybel* — na zgubę; *pohybel*: szubienica, rusztowanie, na którym wieszano skazańców. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*wyżnik* — w grze w karty: starsza karta, najczęściej trzecia co do ważności: rycerz, walet, jopek. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*kozerny* — odpowiedni; *wyżnik kozerny*: najstarsza figura w grze karcianej zw. mariaszem, pamfil. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Myszkowski Zygmunt* (1562–1615) — marszałek wielki koronny (od 1603 r.) na dworze króla Zygmunta III Wazy; popierał politykę wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*Bobola Andrzej* (1591–1657) — jezuita, kaznodzieja, zajmował się nawracaniem wyznawców prawosławia na katolicyzm; sprawował liczne funkcje kościelne; autor tekstu ślubów lwowskich króla Jana Kazimierza (uznanie Matki Boskiej za Królową Polski 1.04.1656 r.). [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*verba volant* (łac.) — słowa ulatują. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*krzywy* (daw.) — nieprzychylny, wrogi. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Tyszkowicz Jan a. Iwan* (zm. 1611) — także: Tyszkowicz, Tyszkiewicz, Tyskiewicz; arianin, za odmowę złożenia przysięgi na Trójcę Świętą (arianie nie uznawali dogmatu o trzech osobach boskich) oskarżony o bluźnierstwo i herezję, torturowany (ucięto mu język, dłoń i nogę), skazany na karę śmierci i stracony; do odrzucenia apelacji powołującej się na tolerancję religijną zagwarantowaną przez konfederację warszawską z 1573 r. i wykonania wyroku przyczyniła się żona Zygmunta III Wazy, królowa Konstancja. [przypis edytorski]

Zamilkli na chwilę obydwu. Gospodarz poruszył się za beczką, kluczami brzękając. Po północy było; godzina zamknięcia artykułami marszałkowskimi wskazana od dawna minęła. Już też w lampce, pod sklepieniem łukowym zawieszanej, oliwy braknąć poczynąło. Knot dogasający skwierczał; cienie fantastyczne, kanciaste, drgające, pełzały po murach i beczkach, kładły się na stołach, stołkach i zakłęsłej, ceglanej posadzce...

Starszy poruszył się i do gąsiorka zajrzał.

— Jur! — zawołał, trącając towarzysza. — Jeszcze kropla tu jest — ostatnia...

— Do biesa z nią! Spać chodźmy.

Wstał i wyprostował się. Pleczysty<sup>50</sup> był i w sobie zwięzły, musiał mieć siłę dużą. Sięgnął po kołpaczek z piórkiem i na głowie go osadził. Z kolei jął szukać czekana<sup>51</sup>. Szybkie ruchy i twarz rozczzerwieniona świadczyły, że już mu wino poczyna sięgać głowy.

— Ostatnia, mówię, kropla... — wyrzekł z naciskiem starszy.

— Spać, mówię, chodźmy! — powtórzył Jur, również z naciskiem.

Tamten podniósł się z ławy ociężale, czapkę lisią na bok przekrzywił i żupanik jął zapinać. Chmurny był. Przywołanemu Agle rzucił pieniądz złoty z takim impetem, że moneta ze stołu spadła i między beczki się potoczyła.

— Słysz, Jurach! — jął mówić z wolna i obojętnie, sprzączkę u paska ściągając. — Pić nie chcesz; do gadaniaś nieskory; spać chodzisz z kurami... Wiesz, co ci rzekę: zostań księdzem, a Basię odstąp Dzianowi.

Jur pobladł.

— *Ad primum*<sup>52</sup> — rzekł, z trudnością się hamując — wysącz no z flaszki oną kroplę.

W jednej chwili kubki zostały napełnione. Wystarczyło petercymentu na obydwu.

Jur wychylił wino duszkiem i kubek o podłogę cisnął.

— Ostatnia kropla! — zaśmiał się szyderczo.

I zaraz, jakby z tą kroplą miara jego spokoju przebrała się, wpadł w furję.

— *Ad secundum*<sup>53</sup>... — krzyknął, czekan w nabrzmiałej ręce ściskając. — *Ad... se... cundum*... Wara z takimi słowami! Druh nie druh, a łba całego nie uniesie!

I okutym kijem puścił młyńca, aż w powietrzu zagwizdało. Agle przybiegł wystraszony, ze sztabą żelazną w rękę, którą drzwi miał zakładać. Z żelazem tym stanął po stronie Szczerba, widząc, że mu niebezpieczeństwo grozi.

Ale junak z lisim czubem odepchnął Ormianina. Zaśmiał się wesoło, ramiona szeroko rozłożył i wrzasnął:

— Jur! Serce moje! A dajże gęby!

W tamtym petercyment działał. Nasrożył się i nie wiedział, co począć. Nagle jednak z buńczucznoścą stał się rzewny. Głowę pochylił, rękawem łzę otarł...

Uściskali się, ujęli pod ręce i poczuli z trudnością dźwigać się w górę po stromych i oślizgłych schodach.

— W samoś serce mię kołnął... — skarżył się Jur.

— Boś nie po kawalersku zasypiał...

— Nawet gdy śpię, przeklętника mam przed oczyma...

— *Pereat*<sup>54</sup>!

Agle uchylił ciężko okute drzwi i najpierw sam wyjrzał, czy nie ma kogo w pobliżu. Potem wymruczał niezrozumiałe pożegnania i młodzieńców wypuścił.

Gdy wyszli, uderzyła ich wielka jasność księżycy i owiało świeże powietrze nocy. Jur zatoczył się.

— Do biesa! — rzekł. — Zdało mi się, że kamienica Wójtowska na mnie pada...

Towarzysz wsparł go ramieniem i przekrzywiony kołpaczek poprawił mu na głowie.

A gdy stali, nie wiedząc, w którą stronę kroki obrócić, dobiegły ich nagle słodkie dźwięki serenady.

<sup>50</sup>*pleczysty* — o szerokich plecach, barczysty. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*czekan* (z tur.) — broń ręczna, wąska siekierka a. młotek osadzony na długiej rękojeści. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*ad primum* (łac.) — po pierwsze. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*ad secundum* (łac.) — po drugie. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*pereat* (łac.) — niech zginie. [przypis edytorski]



### III. NIE ZAWSZE POWRACA SIĘ NOCĄ TAM, SKĄD SIĘ RANKIEM WYSZŁO

Giano, po krótkiej przerwie, w której powietrze zdalo się napępiać przeciągłym szmerem zachwyty, nową rozpoczął zwrotkę.

*Dite, rose preziose,  
Amorose,  
Dite...*

Nie skończył...

Straszne przekleństwo zahuczało mu nad głową, a potężne uderzenie czekana rozbiło mandolinę w drzazgi. Zanim zaś jeszcze ochłonął z przestachu, już żelazna głowica czekana raz i drugi zaświstała w powietrzu tuż nad jego uchem.

— *A l'assassino*<sup>55</sup>! — krzyknął i ze zwinnością lamparta na bok uskoczył.

Dla nacierającego było to fatalne. W szalonym rozmachu, nie znalazłszy oparcia, stracił równowagę i omal nie runął.

Pochylił się jednak tylko i przyklęknął na jedno kolano, czekan z rąk wypuszczając. A w teże chwili przed samymi oczyma mignęło mu błyskawicą ostrze sztyletu...

— A! — krzyknął i powieki same mu się przymknęły, a ręka ruch ochronny wykonała.

Błyskawica jednak nie spadła. Zamiast na dół lecieć, cofnęła się nagle w górę. Ognistą a drżącą linię zakreśliła w powietrzu i, na kształt racy gasnącej, zniknęła w kierunku przeciwnym.

— Diable syny! — rozległ się głos gniewny razem i szydery. — Wprzód graliście, teraz tańczcie!

Jednocześnie wynurzył się z mroku Szczerb. Lewą ręką przewalał on na wznak Giana, ciągnąc go z tyłu za kołnierz; prawą dusił za gardło na pół nieprzytomnego Lukę, któremu oczy na wierzch już wychodziły.

A musiał mieć w rękach moc niezmierną, bo twarz jego uśmiechnięta i zadowolona wysiłku najmniejszego nie zdradzała.

Zaraz też porwał się z ziemi Jurach, czekan upuszczony podjął i z pomocą biegł przyjacielowi.

Zanim jednak dobiegł, stała się rzecz niepojęta.

Roześmiana twarz Szczerba wykrzywiła się nagle kurczem straszny, ręce obezwładnione wypuściły wrogów, a z ust wybiegł jęk bolesny... Młodzieniec przegiął się całym ciałem w tył, potem sztywno wyprostował się i okropnie zakławszy, z odczepionym od pasa czekanem rzucił się poza siebie w uliczkę.

W mroku, na kształt gada, pełznął tam Fabio z okrwawionym sztyletem w dłoni...

Doskoczył do niego, za ramiona porwał i na nogi postawił...

— Zbójju! — wrzasnął. — Niewarteś<sup>56</sup> lepszej broni!

I przerzucając czekan do lewej ręki, prawą, w pięść ściśniętą, wymierzył mu potężny cios między oczy.

Włoch krwią się zalał i na miejscu okręcił. Potem sztylet podniósł w górę i wywijając nim wściekle rzucił się na oślep na przeciwnika.

— Jezus, Maria, Józef! — rozległ się w tej chwili w górze krzyk niewieści. Brzęknęły drzwi gwałtownie zamykane i dwie białe postacie, jak dwa ptaki, z belwederku pierzchnęły<sup>57</sup>.

Wszystko to nie trwało dwóch minut.

I dopiero teraz rozpoczęła się walka właściwa, obustronna.

Zaulek zawrzał krzykami dzikimi, furia już bowiem opanowała jednych i drugich. Włosi walczyli po tygrysiemu, skacząc i odskakując; nasi, jeśli nie szli naprzód, stali twardo w miejscu. Ale wino ich mroczyło i większa część ciosów ginęła w próżni. Tamci natomiast, wysuwając noże na kształt żadeł, nieraz nimi to Juracha, to Szczerba po bokach kęśli. Krew jednak płynęła i po ich stronie. Jur dojechał raz Gianowi od serca i gdyby

<sup>55</sup>*a l'assassino* (wł.) — na mordercę (przekleństwo). [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*niewarteś* — nie jesteś wart. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*pierzchnęły* — dziś popr.: pierzchnęły. [przypis edytorski]

żelazo nie oślizgnęło się po aksamitnym berecie, już by może było po Włochu. Ale i tak lewe ramię opadło mu bezwładnie i do ziemi przysiąść musiał z bólu. Szcerb załatwiał się z dwoma tamtymi. Rozdzielając ciosy między obydwoh, podśpiewywał i drwił. Głowicą grzmocił Lukę, a Fabia tylko drzewcem okładał.

— Na psa szkoda żelaza! — powtarzał szydząc.

Do Luki zaś mówił:

— Poć się, brzuchału, sadła się pozbędziesz...

Albo pokpiwał:

— Knot przez ciebie przeciągnę, lampę będę miał wieczną...

Gdy go zaś ów w żywe ciało kolnął, przeklinał:

— A ropucho! A tworze z kości wieprzowych! A pokrako, na obrazę i niepodobieństwo boskie stworzona!

Krew ciekła tu i tam. Z pstrej odzieży włoskiej strzępy latały po powietrzu. Po narzędziach muzycznych, rozbitych i stratowanych, deptali stopami walczący.

Szcerb poczuł raptem, że słabnie. Aby nie dać się wziąć z tyłu, pod parkan się cofnął i plecyma<sup>58</sup> wsparł się silnie o deski. Tamtych to rozzuchwaliło. Docierać doń jęli coraz bliżej, jak ogary do ranionego odyńca...

Nagle u wejścia do uliczki zagrzmiął głos tubalny:

— W imieniu Jego Miłości Marszałka Wielkiego Koronnego!

Walczący ani spojrzeli w tę stronę.

Głos zahuczał bliżej:

— W imieniu Jego Miłości... w hareszt<sup>59</sup> biorę waszmościów!

I to ich nie poruszyło.

Wówczas rozległa się komenda:

— Węgry marszałkowskie naprzód!... Milicja we środek!... Oszczepnicy na boki!... Rozbroić rebeliantów!

Ku walczącym pogarnęła się<sup>60</sup> gromada ludzi cudacznie wyglądających. Jedni nieśli muszkiety<sup>61</sup>, inni wystawiali przed się klucie<sup>62</sup>, tamci machali oszczepami, a owi podnosili w górę dardy<sup>63</sup>. Szli bez ładu i składu, przepychając się, wadząc i mimo srogiego uzbrojenia, tchórząc widocznie. Istne wojsko Heroda z jasełek. Część miała kierezje<sup>64</sup> białe i niebieskie, sznurkami wyszywane i zapinane na haftki; część, krócej odziana, zadziwiała pstrokacizną barw, wśród których czerwona z zieloną najczęściej były pomieszane.

W krótkiej chwili czereda zapchała uliczkę.

Dopiero to koniec położyło zapasom.

Rozbrojenie poszło bez trudności — z tej choćby racji, że napastnicy w tłoku niezmiernym ani ręką, ani nogą poruszać nie mogli. Było to nie ugaszenie pożaru, ale raczej przyduszenie go. Wory piasku rzucane na płomień ten sam skutek wywołują.

Jur, którego energia już się wyczerpała, bez oporu dawał powodować sobą. Włosi natomiast mitali się i klęli, dowodząc, że straż gwałtu się na ich osobach dopuszcza.

— My cudzoziemcy! — krzyczał Giano łatając rodzinną włoszczyznę łaciną. — My królewscy! Nad nami tylko *signor* Myszkowski... My tylko *signora* Myszkowskiego znamy i słuchamy!...

— *Benissime*<sup>65</sup>! — uspokajał go dowódca, człek brzuchaty, z potężnym nosem i brodą Ajaksa<sup>66</sup>, obwieszony dokoła żelastwem jak mur zbrojowni albo wystawa mieczownika. — Właśnież my nie co innego, jeno sługi marszałkowskie...

Po małej chwili zapaśnicy byli już rozbrojeni i wzięci pomiędzy halabardy, piki i muszkiety. Ale dowódcę spotkała niespodzianka. Zarzucił sieci na pięciu, a złowił w nie — trzech. Dwaj przepadli bez śladu...

<sup>58</sup>*plecyma* — dziś popr.: plecami. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*harszt* — areszt. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*pogarnąć się* — tu: zbliżyć się. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*muszkiet* (z fr.) — ciężka strzelba lontowa, gładkolufowa, ładowana odprzodowo. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*kluc* — pika, dzida. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*darda* (z fr.) — pika zakończona metalowym grotem. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*kierozja* — długie ubranie sukienne, sukmana. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*benissime* (łac.) — doskonale. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*Ajaks* — imię greckiego bohatera wojny trojańskiej, znanego z *Iliady* Homera. [przypis edytorski]

Na dany rozkaz straż zapaliła pochodnie. Jaskrawe, czerwone światło rozlało się po zaułku. Wynurzyły się z cienia wszystkie spadziści i załomy. Po prawej stronie zarysował się parkan z kilkorgiem wychylonych wierzchem drzewek; po lewej kawał muru szczerbatego i jakiś budynek nietynkowany, z wybitymi oknami. W głębi krwawy odbłask padł na Białą Wieżę, wąską a wysoką, która była zarazem bramą miejską i basztą obronną. W okienkach jej drobnych i we wrotach, kratą przejrzystą zasłoniętych<sup>67</sup>, czerwieniły się twarze i połyskiwała broń zwabionych hałasem strażników.

Przetrząsł<sup>68</sup> cały zaułek — zbiegów nigdzie ani śladu. Zapadli się w ziemię, w dym rozplynęli, z iskrami pochodni ulecieli i zgaśli...

— Czartowska sztuka! — szeptało w tłumie.

Ten i ów znak krzyża zrobił na piersiach. Nawet dowódca usta szeroko otworzył i przez długi czas zamknąć ich nie mógł.

— Ha! — westchnął wreszcie, nie wychodząc z zadumy. — I to się zdarza. Przez dwie doby nie jeść, w żywym źródle się wykąpać, psalm pewny siedem razy odmówić i oczy mocno zawrzeć... Uczyl mnie tego rabin jeden...

Ale ocknął się nagle i za nos długi pociągnął.

— Tfy! Co też ja gadam! Święty Krzysztofie, patronie mój, zmiłuj się nade mną! Jutro krzyżem będę leżał, tak mi Boże dopomóż. A teraz: węgry! milicja! pacholki! Sformować się i w drogę!

Czereda wysypała się z zaułka, uprowadzając z sobą Juracha, Giana i Lukę.

Rąk jej uszli: Szczerb i Fabio.

Oddział miał przed sobą krótką drogę, bo tylko przez jedno z ramion Krzywego Koła. Mimo to nie przeszedł niepostrzeżony. Wrzawa nocna zrobiła swoje: wiele okien było otwartych, tu i ówdzie kupiły się gromadki mieszczan, do połowy tylko odzianych. Pytano, czyniono uwagi, pokrzykiwano.

A najpierw powitała więźniów owa para szewców czy cieśli, włócząca się przed godziną po Dunaju.

— Do Jazdowa z nimi! Do zwierzyńca — szydził weselszy, palcem wytykając Włochów. — Król Jegomość będzie miał zabawkę...

Tym razem nie ustępował mu i towarzyszył.

— Włoska zaraza! — wykrzykiwał — Truciele! Zbójniki! Do kuny<sup>69</sup> ich zamknąć, ludowi na pastwę oddać. Niech im przekupki zgniłymi jajami trefione<sup>70</sup> lby maszczą<sup>71</sup>!

— Wysmagać te ulizane prosięta!

— Potopić!

Niechęć udzieliła się i innym.

— Precz z Włochami! — zawołał ktoś w tłumie. — Struli nam jednego pana, dybią na drugiego.

— Za Radziwiłłównę im zapłacić!

— Za Zygmunta!

— Za ostatnich Mazowieckich!

Tłum gęstniał — szemranie wzrastało — krzyki padały jak bomby...

— Niech szczeźnie<sup>72</sup> włoskie plemię!

— Niemieckie też!

— I Szwedów nam nie trzeba!

— Precz z Bobolą!

— I z panną Orszulą!

— I z Myszkowskim!

— *Silentium*<sup>73</sup>! — zagrział dowódca straży. — *Crimen lesae Mareschali*<sup>74</sup>. Węgry! Milicja! Oszczepnicy... przyspieszyć kroku!

<sup>67</sup>zasłonięty — dziś popr.: zasłonięty. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>przetrząsł — dziś popr.: przetrząsnięto. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>kuna — żelazna klatka umieszczona na rynku, w której zamykano za karę drobnych przestępców, wystawiając ich na publiczne zniewagi. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>trefiony — wymyślnie uczesany, wypielęgnowany. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>maszczyć — smarować, nacierać. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>szczeźnić — umrzeć, zginąć. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>silentium (łac.) — cisza. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>crimen lesae Mareschali (łac.) — zbrodnia obrazy marszałka. [przypis edytorski]

Przez okna otwarte wychylali się otyli mieszczanie. Ci, nie wiedząc, o co chodzi, dopatrywali się winy w naturalnym swym wrogu: szlachcie.

— Podobno wojewodziński spichrz miejski napadli — opowiadał sąsiad sąsiadowi — szlachetnego patrycjusza zakłuli, dziewczkę uczciwą porwali, dwóch pacholków zastrzelili...

— Nauczyć ptaszków moresu! Sąd „gorący”<sup>75</sup> nad nimi sprawić! Na gardle pokarać<sup>76</sup>!

— Dość już tej hańby! Mamyż czekać, aż na smyczę<sup>77</sup> nas wezmą?

— Bodajby im kat żelazem herby powypalał<sup>78</sup>!

— Nocy nie ma jednej, żeby bałuch<sup>79</sup> przez nich nie wynikł...

— Nie dość im, że frymarczą<sup>80</sup> kryjomo<sup>81</sup>, ceł nie płacą, na szkodę kupiectwa działają...

— Albo te ich jurydyki<sup>82</sup>! Rządy w rządzie, miasta w mieście — urągawisko prawu i obyczajowi!

— Uprzywilejowani!

— Ciemieżcy!

— Oligarchowie!

W miarę jak oddział się zapuszczał, głosy uspokajały się i cichły.

— Pogoda będzie jutro... — ozwał się ktoś, ziewając.

— Na Piekiełko pójdziemy — czarownicę oglądać na stosie...

— Ja do Fary<sup>83</sup> — ksiądz Skarga<sup>84</sup> dosalać ma senatorom...

— Daj mu Bóg zdrowie. Dobranoc, kumie Macieju!

— Śpijcie z Bogiem, kmotrze Stanisławie.

Okna zamknięto.

Tymczasem straszny z pozoru pachoł, z rohatyną<sup>85</sup> zębatą w rękę, wiodący Jura „pod hareszt”, nachylił się doń i mówił płacziwie:

— Matula dobrodziejka srodze się zmartwi... oj!

— Znasz matkę? — zapytał tamten zdziwiony.

— Co nie mam znać. Tociem<sup>86</sup> wychowanek nieboszczyka Zawiślaka, tatula waszego.

Panisko mnie nie poznał? Frącek Chrzan jestem.

— Zmieniło cię przebranie. Ale to i lepiej, żeś miejski.

— To się wie. Klucznik mój krewniak — głodu panisko nie dozna...

— Bóg ci zapłać, Frącku.

— A u matuli jutro będę...

— Bądź. Ale prawdy jej nie mów. Powiedz, że mnie magnat jeden wywiózł — robotę dał pilną...

— Stać! — rozległ się w tej chwili grzmiący głos dowódcy.

Frącek minę groźną przybrał i rohatyną wojowniczo potrząsnął. Straż, wlokąca się krętym i ciemnym zaułkiem, zatrzymała się w miejscu.

Więźniów wprowadzono do Wieży Marszałkowskiej.

Nie była zaś wówczas Wieża Marszałkowska niczym innym, jeno Wieżą Okrągłą, na załomie muru obronnego od strony Wisły stojącą.

<sup>75</sup>sąd „gorący” — sąd odbywający się niezwłocznie po schwytaniu przestępców na gorącym uczynku. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>na gardle pokarać — wykonać karę śmierci. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>smyczę — dziś popr. forma B.lp.: smycz. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>kat żelazem herby powypalał — jedną z daw. stosowanych kar było wypalanie hańbiącego piętna przestępcem; herb tu iron.: piętno. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>bałuch — wrzawa, zgiełk, hałas. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>frymarczyć — handlować. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>kryjomo — po kryjomu. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>jurydyka (z łac.) — enklawa wyjęta spod prawa miejskiego; jurydykami były tereny położone pod miastem lub w jego obrębie, należące do szlachty a. duchowieństwa. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>fara (z niem.) — kościół parafialny; tu: kościół św. Jana, dzisiejsza katedra. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Skarga Piotr (1536–1612) — jezuita, kaznodzieja nadworny Zygmunta III, czołowy przedstawiciel kontrreformacji, zwolennik ograniczenia uprawnień sejmu i umocnienia władzy królewskiej; piętnował wady polskiej szlachty. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>rohatyna (z czes.) — rodzaj włóczni. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>tociem — toć jestem; przecież jestem. [przypis edytorski]

## IV. BASIA

Imć pan Balcer *alias*<sup>87</sup> Baltazar Szeliga od półrocza już przeszło poza domem przebywał. Trzymały go w cudzych krajach sprawy handlu, który przez lat trzydzieści z pożytkiem dla siebie i miasta swego prowadził.

Szeliga był to mąż „uczony, pokaźny i rozgłośny” (*honestus, spectabilis, famatus*). Obyczajem ówczesnym pisał się Sheliga albo Scheliga. Handel odziedziczył po ojcu, dzielił go zaś z bratem Janem. Ten ostatni, że był zdrowia słabego, więcej ksiąg się pilnował niż lokcia. Do trzech epitetów wymienionych dodało mu to jeszcze czwarty: *illustris*<sup>88</sup>.

Balcerowi temperament i peregrynacje<sup>89</sup> częste nie pozwalały urzędów magistrackich sprawować. Natomiast Jan oddał się im niepodzielnie. W r. 1607 widzimy go w kole ławniczym: za burmistrzostwa Mikołaja Majerana, a podskarbiostwa Stanisława Baryczki. W 1617 jest już rajcą i szafarzem. We dwa lata później osiąga godność najwyższą, obierają go bowiem „prokonsulem”, czyli burmistrzem.

Szeligowie kupczyli bławatami. Pod krótkim tym określeniem rozumieć trzeba sferę niezmiernie rozległą. Należało do niej wszystko, co w wieku owym mianem „kupi tkaney” oznaczano. A także wszelkie rodzaje sukien i płótna przeróżne.

Mieli oni kram najpokaźniejszy w Ratuszu; mieli drugi przy ulicy Grodzkiej. Składy ich wielkie i zawsze pełne mieściły się w kamienicy Balcera w Rynku. Liczono Szeligów do mieszczan najzamożniejszych, do patrycjatu Starej Warszawy.

Prócz dwóch braci była jeszcze siostra. Od obu starsza i już niemal sędziwa, w panieństwie pobożnego żywota dokończyła. Eufemia było jej na imię; Ofką ją nazywano.

„Ciocia Ofka”, choć z pozoru praktykom religijnym całkowicie oddana, a przy tym przez pół ciemna i jak wianek zeszloroczny wyschnięta, miała jednak głowę w rodzinie najtęższą. Miała też podobno i największe kapitały. W ogóle głos jej w rodzinnym trybunale Szeligów ważył najwięcej.

Jan był bezzennikiem<sup>90</sup>, Balcer zaś wcześniej owdowiał. Ofka mieszkała przy ostatnim, matkując jedynaczce jego Basi.

W domu wdowca zwyczajnie panowały patriarchalne. Z cnót potocznych najbujniej w nim kwitły: pobożność i pracowitość. O tej ostatniej powiedzieć by można, że była niemiecka. Co prawda, nie to jedno tylko niemieckością tam trąciło — ale czyż mogło być inaczej?...

Szeligowie drzew genealogicznych nie rysowali, rodzinne zaś ich tradycje nie sięgały dalej nad cztery do pięciu pokoleń. Znaczy to niewiele więcej nad jedno stulecie. A tymczasem, któż wie, czy po gałązkach rodowych na dół się opuszczając nie znalazłoby się korzenia tkwiącego w ziemi — niemazowieckiej<sup>91</sup>...

<sup>87</sup>*alias* (łac.) — inaczej. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*illustris* (łac.) — oświecony. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*peregrynacja* — podróż. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*bezzennik* — stary kawaler. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*czy po gałązkach rodowych (...) nie znalazłoby się korzenia tkwiącego w ziemi niemazowieckiej* — o przypadku ten zresztą nie było podówczas trudno. Zdarzyć on się mógł większości rodów mieszczańskich. Skądże bo one wyrosły, jeśli nie z plonek [*plonka*: gałązka, szcep; red. WL] obcych, głównie i przede wszystkim niemieckich? Jak do niedawna jeszcze kupiec i Żyd, tak przy narodzinach mieszczaństwa naszego kupiec i Niemiec znaczyli jedno. A w miejscu tym znów wraca pytanie: czyż mogło być inaczej? Tak jest, czyż mogło być inaczej tam, gdzie w narodzie widziano dwa tylko rodzaje ludzi: rycerza i kmiecia? Ścisłej mówiąc, człowieka widziano tylko w rycerzu, czyli szlachcicu. Kmieć był dla rycerza tłem, podścieliskiem, oprawą. Znoszono go, boć i najpiękniejszy kwiat nie obejdzie się bez nawozu. Na mieszczanina po prostu miejsca nie było. Przyszedł on z Niemiec i był Niemcem. I nie tylko był, ale być musiał. Przed swoimi prawną postawiono tu zagrodę. Cóż za dziw przeto, że w złotej księdze mieszczaństwa Starej Warszawy tak gęsto błyszczą nazwiska niemieckie! Cóż za dziw, że się tam co krok spotyka: Ginterów, Mejerów, Bucholców, Gissów, Wittów, Withoffów, Fuggerów, Sztyców, Kleinpoldów, Fiszerów, Szlichtyngów, Plumhoffów, Zajdlców, Landsbergów, Mincerów, Knabów i Szulcendorfów! Mieszczaństwo nasze to spław wielu metali. Spław ścisły i do rozbioru trudny. Metale owe do jednego tygla rzucone wrzą, pryskają i skwierczą, ale gdy już ostygły, jednolita powstaje z nich masa. Nie na Niemcach bowiem domieszki się kończą. Przerzucamy kronikę Starej Warszawy z XVI i XVII stulecia i wychylają się z niej do nas ludzie wszelakiej narodowości. Są tam Włosi: Zappio, Bandinelli, Gianotti, Mokollini, Mariani; są Francuzi: Szerzant (pisownia współczesna), Sakres, Chevalier; są Ormianie: Minasowicz, Augustynowicz; jest Holender: Horlemes; są Szkoci: Czamer, Czorn, Lermunt. Ostatni zresztą bawi tylko gościnnie. Wszystkie te nazwiska wzięte są z najwybitniejszych. Nosila je magistratura, kupiectwo wyższe, właściciele domów w mieście i folwarków poza miastem. W żadnym też dziale nazwiska te nie wyczerpują listy. Łańcuch ich, zwłaszcza z ogniwami niemieckimi, dwakroć jeszcze dłuższym można by uczynić. Na oceanie tym zjawiają

Co się tyczy Szeligów, pewne jest to tylko, że się kilkakrotnie z rodzinami o niemieckim nazwisku koligali. W kolei czasów wchodziły do ich domu: Korbówny, Gissówny, Fukierówny. Było to zwyczajne podówczas i nieuniknione. Szlachcianki gardziły mieszczanami, mieszczenie gardziło kmieciównami. O ile więc który z nich nie przywiózł sobie małżonki z obczyzny, brać ją musiał z ciasnego obrębu Starej lub Nowej Warszawy. Ale i tu nawet (o wieczna ludzkiej próżności komedio!) rzadko przychodziło do łączenia się dwóch połów jednej całości. *Civis Antiquae Varsoviae*<sup>92</sup> spoglądał z góry na ziomka zamieszkującego *Novam Varsoviam*<sup>93</sup>. Do osobliwości też liczyło się, by przed ołtarzem stawali: oblubieniec z tej strony Bramy Nowomiejskiej, a oblubienica z tamtej.

Z wolna też patrycjat Starej Warszawy przetwarzał się w jedną wielką rodzinę. Już to byli nie tylko współobywatele, ale kumowie i powinowaci. Związek też ich odznaczał się niezmierną spoistością. Drzewo genealogiczne jednego bywało drzewem genealogicznym wszystkich<sup>94</sup>.

Miała więc w sobie i Basia Szeliżanka niemieckości dziedzicznej sporo. A nie była to niemieckość spokojnych równin Brandenburgii ani zdrzemniętego przy szumie fal Pomorza, ani wreszcie lisich, złowrogich nor pruskich. Wiała od niej poezja Czarnego Lasu i zamków nadreńskich. Minnesingerów<sup>95</sup> najczulsze pieśni widok jej na myśl przywodził.

Była to zaś dopiero jedna istoty tej wybranej połowa.

W drugiej uosabiała się wszystko, co najpiękniejszego posiada Mazowsze.

Basia rozmodlona, z liczkami bladawym, z oczyma spuszczone, z twarzą cieniem długich rzęs omroczone, przypominała aniołów Dürera<sup>96</sup>. Ale Basię, którą chochlik szesnastu lat rozswawolił, której buzia rumieńcem dziewczęcym się oblała, której oczy gorącym promieniem zdrowia i młodości strzeliły, przyrównać wypadało do jagody, do maliny, do róży, do boginki wreszcie słowiańskiej, której śmiech kaskadą pereł rozsypuje się po świeżej, wonnej łące.

Basia należała do tych mieszczek, które w znawcach herbowych podziw i niedowierzanie budzą. „Możliweż to — mówili — aby z plebejuszowej płonki kwiat taki wystrzelił!” Za wąs się ciągnęli, podśmiewali, oczyma myśl tajoną dopowiadali. „A onaż Szeligowa — zagadywał niejeden — niewiasta była gładka? A czy była też dworska i krotofilna? A braci szlachty dość u nich bywało? A gamratować<sup>97</sup> z gospodynią lubili?...”

Z ponęt cielesnych dwie miała Basia najcudniejsze: oczy i włosy. Z ponęt duchowych jedną, która jednak za wiele innych starczyła: słodycz niezmierną rozlaną w twarzy, w mowie, w obejściu się całym. Dziś nazywamy to kobiecością.

Włosy Basi, bardzo długie, bardzo gęste i bardzo miękkie, miały barwę jasnego bursztynu. Nosiła je zwykle rozpuszczone i obrączką złotą opięte. Gdy na włosy te padł promień słońca, zdawały się otaczać głowę nimbusem<sup>98</sup> świetlanym.

Co się tyczy oczów, były one bardzo duże i bardzo piękne. Ale byłyż modre, szare czy zielonkawe? Nikt barwy ich nie znał na pewno. Najpierw dlatego, że barwa mieniła się w tych oczach nieustannie, jak w opalu; następnie, że rzadko komu danym było w nie się wpatrywać.

---

się jako *rari nantes* [*rari nantes* (łac.): nieliczni pływający; nieliczni ocaleńcy; por. Wergiliusz, *Eneida* I, 118; red. WL]: Baryczkowie, Falkiewicz, Długosze, Drewnowie, Wolscy, Łukaszewicze, Rembowicze, Wilki, Mrozy itd. Nieliczni, ale krzepcy, trzymają się na powierzchni. Potem zastęp ten zwiększa się; nigdy jednak przewagi liczebnej nie zdobywa. Zresztą mozaika ta jest tak misternie ułożona i dopasowana, że z pewnej odległości czyni wrażenie obrazu jednolitego. Czas wypełnia i zaciera maleńkie przerwy pomiędzy kamykami i kładzie na wszystkim jednostajną polewę. Po kilku dziesiątkach lat nikt już nie myśli o tym, że szlachetny Marian zwał się niegdyś Marianim, Dzianot Gianottim, Giza Gissem, Liść Leistem itp. Zyskuje na tym harmonia obrazu, a i kamykom krzywdą się żadna nie dzieje. [przypis autorski]

<sup>92</sup>*Civis Antiquae Varsoviae* (łac.) — obywatel Starej Warszawy. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*Novam Varsoviam* (łac.) — Nową Warszawę. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Drzewo genealogiczne jednego bywało drzewem genealogicznym wszystkich — kto ciekawy, może dziś jeszcze odczytać ryte w marmurze słów tych potwierdzenie. Znajduje je w rynku staromiejskim, na tablicy wmurowanej we front domu ongi baryczkowskiego. Spotka tam powiązane w jednym napisie nazwiska i rody: Baryczków, Marianów, Kulskich, Fukierów, Bartolów i innych. Jak w gąszczy leśnej, konary rodów zaplątują się tak mocno, że drzewa od drzewa nie odróżnisz. [przypis autorski]

<sup>95</sup>*Minnesinger* (z niem.) — niem. odpowiednik trubadura; średniowieczny poeta i śpiewak. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*Dürer, Albrecht* (1471–1523) — malarz niemiecki. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*gamratować* — zalecać się, swawolić. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*nimbus* (z łac.) — aureola. [przypis edytorski]

Można było Basię znać długo, a jednak oczu jej ani razu nie widzieć.

Dziewczyna miała zwyczaj (przez naturę dany lub może przez ciotkę Ofkę podszeptnięty), że niemal bezustannie trzymała oczy w ziemię spuszczone i rzęsami długimi zakryte. Na ulicy, w kościele i w każdym tłumniejszym zebraniu nikt jej z oczyma podniesionymi nie widywał.

Gdy wyprzedzając sparaliżowaną ciotkę i objuczonego książkami modlitewnymi pacholika szła (właściwie byłoby powiedzieć: płynęła) do Fary, ze złożonymi na piersiach rękami, ze wzrokiem opuszczonym, w toczku z aksamitu błękitnego na jasnych włosach, w przepasce perłowej na czole, w lekkim, białym, całą postać opływającym kwefie, wyglądała jak cherubin z malowanego okna starej gotyckiej katedry.

W domu, dla swoich, była inną. Złote włosy w warkocz grubo zaplótłszy, suknię wdziawszy z materii kwicistej we dwa różne wzory, na ręce po łokieć obnażone maneli<sup>99</sup> złotych nakładłszy, a nóżki maleńkie w aksamitnych patynkach uwięziwszy, była już nie po anielsku, ale po kobiecemu piękna i ponętna jak ptak rajski, jak wonny owoc, jak cukierek...

Urabiały ją dwa różne wpływy: ojca, który jedynaczkę pieścił aż do ubóstwienia, i ciotki, która mówiła jej wciąż o chrześcijańskiej pokorze i o ekstazach najwyższych, jakie daje modlitwa. Była więc Basia: wykwinna w upodobaniach i obsłonek puchowych w życiu potrzebująca, ale zarazem gotowa ze wszystkich ponęt świeckich uczynić ofiarę, gdyby od niej tego w imię religii zażądano. Bywały dni, w których za przykładem ciotki nie wahała się pod jedwabną koszulką włosienicy ukrywać kolczastej. Do dziwów to zresztą w owe czasy nie należało.

Ciotka Ofka, jakkolwiek prawie wcale zmysłami nie żyjąca, miała wszakże jedną ziemską namiętność, którą siostrzenica od niej przejęła. Co prawda, było w owej namiętności tyleż ziemi, co nieba, stanowiło ją bowiem: zamilowanie w muzyce.

Basia grywała na lutni i na klawikordzie, który nazywano podówczas *cembalo*. Ale spod palców jej nie dobywały się inne pieśni, jak tylko nabożne. Niemal w każde świąteczne popołudnie cała rodzina Szeligów przysлуchiwała się pieśniom tym w zachwycie. Nikogo wszakże skrzydła ekstazy nie unosiły tak wysoko, jak samą grającą i ciotkę.

A nie tylko muzyki wyuczono dziewczynę. Taniec i śpiew również jej obce nie były. Malowała nawet po trosze — jedwabiami barwnymi na krosnach. Prócz tego mówiła dobrze językiem niemieckim, który był niezbędny, i językiem włoskim, który był modny. Wreszcie знаła o tyle łacinę, że mogła być modlić się z książki łacińskiej i rozumieć w książkach polskich łacińskie sentencje.

Piękna, miła, rozumna i bogata, powinna była mieć wielu zalotników. Nie miała ich jednak. Szkoził jej właśnie nadmiar przymiotów. Był to kwiat zbyt wytworny, aby śmiało rękę po niego wyciągać. Przy tym za wiele w niej było tego, co byśmy dziś nazwali „idealnością”, a w czym podówczas nie smakowano.

— To święta... — mawiali jedni. — W ramki ją oprawić, lampką z Loretu<sup>100</sup> oświetlić i modlić się do niej — z daleka...

— Szeligowie nie dadzą córki mieszczankowi — twierdzili inni — Baryczce chyba albo z Gissów któremu...

— Będzie, co przeznaczono! — kończyli starzy. — Przyjdzie taki, co dziewczkę i wiano zabierze. Byle był nasz — boć szkoda bogactw takich za mury wypuszczać...

## V. BĘDZIE, CO PRZEZNACZONO

— Siniora i sinorina<sup>101</sup> pozwolą?...

Jednocześnie z tymi słowami ręka, jedwabnym rękawem opięta, wykonała ruch od chrzcielnicy do dwóch przeciskających się przez tłum niewiast i wyciągnęła ku nim białe, opierścienione palce, w wodzie święconej zmaczane.

Właśnie bowiem ręce niewiast ponad głowami tłoczących się w kruchcie osób wyciągały się w daremnym wysiłku w stronę marmurowej konchy, wodą ową napelnionej.

<sup>99</sup>*manela* (z wł.) — bransoleta. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*Loret* — właśc. Loreto, miasto we Włoszech związane z kultem Matki Boskiej, cel pielgrzymek wiernych katolickich. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*siniora, sinorina* (z wł.) — pani, panna. [przypis edytorski]

Jedną z tych rąk była rączką, druga rączyskiem. Pierwsza, w złotonitnej półrękawiczce, mała, wąska i zakończona paluszkami o rubinowych paznokietkach, należała widocznie do młodej i pięknej dziewczyny. Druga, całkowicie z futrzanego mieszka wydobyta, duża, koścista i żółta, pomarszczoną skórą obciążona, była jedną z tych rąk bezpłciowych, jakie może mieć równie dobrze mężczyzna, jak niewiasta — pod warunkiem, że będą oboje starzy.

Przez chwilę troje tych rąk tkwiło nieruchomo w powietrzu. Potem rączka zaczepiona wykonała lekki ruch wstecz, ręka zaś zaczepiająca lekko zadrzała. Wreszcie kłopotliwą niepewnością przecięło rączysko, które woskowymi palcami dotknęło najpierw ceremonialnie ręki, a następnie dotknięcie to — ciepłe jeszcze, rzec by można — przeniosło pospiesznie na rączkę. Dopelnivszy tego, wszystkie ręce powróciły do swych właścicieli, przy czym najpowolniej i najniechętniej dopełniła tego ręka w jedwabnym rękawie.

Działo się to w pewne słoneczne, niedzielne południe, zaraz jakoś po wyruszeniu sławetnego Balcera Szeligi w drogę.

Zaledwie ręka i rączysko wydostały się z tłoku i przed kościół wyszły, pozdrowiono je słowami:

— Służby moje waszmościankom oddaję. Niech będzie pochwalony!

Stary Drewno, rajca magistratu, w rozpiętej, suto szamerowanej delii<sup>102</sup>, podpierając się laską o wielkiej złotej gałce, do niewiast przystąpił.

— Na wieki! — odrzekły obie głosami cienkimi.

— Dworsko znalazł się lutnista — niech go kaci! — ciągnął stary, nogami ociężale suwając.

— Lutnista! — wyrwało się młodszej, w rodzaju westchnienia razem i zapytania.

Zaraz też zakaszła, jakby chcąc wrażenie słowa nieumyślnego zatrzeć.

— Toć widziałem — powtórzył rajca. — Giano Baldi, śpiewak dworski, pierwszy lutnista farskiej kapeli<sup>103</sup>. Schodził właśnie z chóru, gdzie na *Offertorium*<sup>104</sup> swe włoskie rulady odśpiewał...

— Stateczny jakiś kawaler — zauważyła przez nos druga. — Umie starość uszanować...

Znów zakaszłano — ale tym razem w sposób odmienny.

W parę dni później podagryczny *maestro*<sup>105</sup>, który Basię gry na lutni uczył, poprosił, by go na czas pewien od lekcji zwolniono. Tłumaczył się słabością i potrzebą kuracji, wreszcie przyrzekł, że przyśle zastępcę.

Zastępcą był Giano.

Do domu bogatego mieszczanina wślizgnął się pokorny, wpół zgięty i dla Basi prawie że obojętny, a natomiast afektem darzący Ofkę. Przyjęto go z atencją, należną artyście i dworzaninowi. Atencji okazał się godnym, umiał bowiem roztoczyć uroki człowieka światowego, popisać się wykształceniem, koligacjami świetnymi i zamożnością.

Ofkę ujął przede wszystkim dewocją wielką — równą niemal tej, jaką ona praktykowała. Pierwszy jego pokłon, gdy na lekcję przybywał, skierowany był w stronę obrazów świętych, którymi ściany mieszczkańskiego domu gęsto były zawieszane. Relikwie nosił i ciotce ich udzielał. Mawiał z nią wiele o Rzymie, papieżu, o cudach, na które sam patrzył lub których doświadczyła jego rodzina. Jednego wieczoru wyznał jej poufnie, że się w każdy piątek biczuje.

Nawiasowo i jakby z niechęcią napomykał o swym bogactwie. Miał w bliskości Rzymu kopalnię marmurów, pod Neapolem winnice, w Wenecji pałac. Gdyby chciał, mógł był używać tytułu *conte*<sup>106</sup>. Do Warszawy sprowadziła go jedynie chęć poznania Zygmunta, „największego artysty pomiędzy królami”.

— Alem rozmiłował się w waszej stolicy — dodawał — i gdyby przeznaczenie chciało...

Nie kończył — spojrzenie wszakże jego dopowiadało: „Już bym się stąd nie ruszał...”.

<sup>102</sup>*delia* (z tur.) — długi płaszcz z obszernym kołnierzem, podbity futrem. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*farska kapela* — kapela grająca podczas nabożeństw w farze; tu: w katedrze św. Jana. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*Offertorium* (łac.) — ofiarowanie; tu: część katolickiej mszy św., ofiarowanie chleba i wina. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*maestro* (wł.) — mistrz. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*conte* (wł.) — hrabia. [przypis edytorski]



Ofka była olśniona. Ile razy mistrz z uczennicą duety grywali, przносиła oczy z jednego na drugie, jakby chciała promienie ich dusz w jedno ognisko zestrzelić.

Oporniejszą od Ofki okazała się inna kobieta w domu Szeligów przebywająca. Była to daleka powinowata, współwychowanka Basi. Uważano ją przez pół za służącą, przez pół za przyjaciółkę. Na imię jej było Dobra albo Dobruchna. Na kamienicy Balcerowej sumkę miała, przez matkę Basi zapisaną; tymczasem, by chleba darmo nie jeść, gospodarzyła w domu opiekunów. Do gospodarskich zajęć Ofka była za stara, a Basia za piękna.

Dobruchnie wymuskany grajek nie przypadł do smaku. Słuchając pochwał, przez Ofkę wyśpiewywanych, powtarzała:

— Juraś gładszy... Juraś pocziwszy... Juraś stateczniejszy...

Powtarzała to głośno przy wszystkich, powtarzała też samej Basi tylko, gdy w komnatce dziewiczej poufnie gwarzyły.

— Jurasiowi ciotka przekorna... — mówiła Basia w zamyśleniu.

— Ciotka nie matka! Zniewolić cię nie może...

— Ojciec jej słucha i stryjek jej słucha. Wszystkim jest. Alboż nie tak się zawsze dzieje, jak ona zechce?

— Bo ty się głosu swego wstydasz. Powiedz rezolutnie: chcę Jurasia — a Juraś twoim będzie.

Zapłoniona buzia dziewczyny kryła się wśród złotych haftów na krośnach rozpiętych. Usta jej milczały.

— Czyż ci Juraś nad wszystkich nie droższy? — nalegała powiernica.

Śliczne oczy szeroko się otwierały, a spojrzenie ich wskroś szybek w ołów oprawnych uciekało daleko. Błądziła wzrokiem po szczytach baszt obronnych, po zaroślach Kępy Polkowskiej, po łąkach i borach zarzecznych, aż wreszcie z ust jej wybiegało westchnienie i odpowiedź cicha:

— Nie wiem...

Złą było to wróżbą dla młodego Zawiaślaka — gorszą pono od zakazu bywania, jaki przed półroczem usłyszał. Zakaz spowodowany został nieobecnością gospodarza i ustać miał wraz z jego powrotem; niepewność przeciągnąć się mogła dłużej — na zawsze może...

Ze strony Jura zuchwałstwem poniekąd było marzyć o córce Szeligi. Nie brakło jednak racji, które go usprawiedliwiała. Najpierw — był młody i miał serce kochliwe. Potem, nieboszczyk rodzic jego z ojcem Basi w przyjaźni żyli serdecznej. Potem jeszcze, sam on szczylił się łaskawością Szeligi, a z jego córką dzieciństwo całe przeigrał. Nareszcie, choć nie bogacz, wcale był jednak zamożny.

Zawiaślaki, ojciec i syn, liczyli się do pierwszych na całe Mazowsze złotników. Ba, w Krakowie i we Lwowie dobrze ich wspominano. Roboty starego Zawiaślaka dotąd jeszcze w skarbcach kościelnych napotykać można. Odnalazłyby się też pewnie i w niejednym rodzie magnackim, który pamiątki szanuje.

Rodzic Jura fortunę zebrał wielką. Nie zostawił jednak całej synowi. W czasie pamiętnej klęski pożarnej, kiedy kupy hultajstwa, rzekomo ratując, rozbijały i kradły, zrabowano mu doszczętnie pracownię i składy zasobne. Rychło też potem umarł.

Po mistrzu sztuki złotniczej pozostały: dobre imię, dworek przy ulicy Podwalnej, rola na gruntach Nowej Warszawy i dwie sztaby „brantu<sup>107</sup> olkuskiego”, który srebro oznaczał. Jedynak odziedziczył po nim nadto: pracownię i talent.

I młody Zawiaślak tytułem mistrza się zdobił, rodzaj wszakże tego mistrzostwa był już o wiele od ojcowskiego drobniejszy. Tak on się miał do niego, jak się ma piosenka do poematu. Jur uprawiał jedną tylko (najmistrzniejszą co prawda) gałąź złotnictwa. Był on, jak nazywano podówczas, „ryngmacherem”. Monstrancji, kielicha, diademu i stołowej zastawy nie tknął; natomiast kolce<sup>108</sup>, pierścienie, kanaki<sup>109</sup>, bramki<sup>110</sup>, manele<sup>111</sup>, al-

<sup>107</sup>brant (z niem.) — kruszec wytopiony z rudy; brant olkuski: srebro z kopalni w Olkuszu. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>kolce (daw.) — kolczyki. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>kanak (z tur.) — naszyjnik. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>bramka — ozdoba biżuteryjna na czoło i głowę. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>manela (z wł.) — bransoleta. [przypis edytorski]

szbanty<sup>112</sup> i wszystko co do stroju, białogłowskiego zwłaszcza należało, wychodziło z jego rąk piękne, pieściwe i tchnieniem arcyzmu uduchowione.

Do dworku na Podwalnej (gdzie stara Zawiślakowa, w ciężkim zagłębiona krzesła, po dniach całych żywoty świętych, na przemian z horoskopami astrologów, czytywała) szli magnaci z miasta i ze wsi zamówienia czynić i gotowe kupować arcydzieła. W rzeczach handlu syn wyręczał się matką, sam bowiem, jak prawdziwy artysta, wstręt czuł do targów wszelkich. W dwóch izbach na dole kilku wyrostków wykończyło grubsze roboty; na pięterku, w niewielkiej, ale światła pełnej komnatce, pracował Jur, ciszą otoczony i samotnością.

Nie była wszakże samotność owa zupełną. Świetlany obraz Basi na chwilę stamtąd nie wychodził. Ileż razy młodzieniec odkładał narzędzia, wzdychał, chcąc powietrzne wdziałło w objęcia pochwycić!...

Basia tymczasem mówiła: „Nie wiem...”.

## VI. SZCZERB WYPŁYWA

W tej samej chwili, kiedy człowiek z brodą Ajaksa huknął z potężnych piersi: „Węgry, naprzód!” i uzbrojona cudacznie halastra z brzękiem i szczękiem rzuciła się w zaułek, Szcherb oparty silnie o krzepkie deski parkanu doznał nagle wrażenia, jakby się pod nim otwierała przepaść — nie u stóp jednak, lecz pod plecyma<sup>113</sup>...

Zabierał się właśnie do ostatecznego rozbicia klepek tej beczki żywej, która na krótkich nóżkach przed nim skakała, drażniąc go i wyzywając, gdy plecy jego straciły raptem punkt oparcia i zdążywszy zaledwie krzyknąć: „Jezu Nazareński!”, w przepaść ową runął.

W jednej chwili: krew, sztylety, zaułek, światło księżycy i ostrza halabard zniknęły mu sprzed oczu, jakby je zdmuchnięto.

Potoczył się kilkanaście kroków w tył i upadł — szczęściem na coś miękkiego, co wycziewało zapach rezedy i goździków.

Gdy padał, zdało mu się, że gdzieś w pobliżu krzyknięto: „ach!” i „och!”. Były to dwa różne wykrzykniki i dwa różne głosy, łączyła je wszakże ta wspólność, że wybiegły oba z piersi niewieścich, młodych i wzruszonych.

Młodzieniec, nie bez trudności dźwignąwszy się, pełnym zdziwienia wzrokiem potoczył dokoła.

Ciemno tu było i cicho. Z dała tylko dochodził hałas straży uprowadzającej więźniów. Grubych cieni nie rozpraszało światło księżycy, ile że chmurami on zaszedł, a skąpych jego blasków ściana wysoka nie przepuszczała.

Zapach kwiatów i przyjemna świeżość powietrza kazały domyślać się Szcherbowi, że jest w ogrodzie. Jakoż jął rozeznawać niepewne, rozplywające się sylwety drzew, małe kręgi klombów i plamy białe, które pewnie były posągami.

Naraz jedna z tych plam posagowych poruszyła się z miejsca i w stronę młodzieńca nadpłynęła.

— Pan Jur? — ozwał się głos pytający a niewymownie słodki. — Pan Juraś?...

Młodzieniec wyprostował się i rękę uniósł do czapki, której jednak na miejscu zwykłym nie było.

— Szcherb jestem — dobitnie oświadczył. — Bolko mi na imię.

„Ach!” i „och!” rozległo się ponownie, w odmiennej wszakże tonacji. Jednocześnie plama biała wróciła na dawne miejsce, gdzie złączyła się z inną, tkwiącą tam dotąd nieruchomo. I zaraz szybko obie te plamy, jakby od ziemi oderwane, jęły chwiać się i w górę unosić...

Szcherba, któremu wino, walka i osłabienie zamęt w głowie sprawiały, wszystko to bawić poczynało.

Pod boki się ujął, nogi rozstawił i węża do góry podciągnął.

— Anielskie wy figury czy też duszyczki czyścicowe! — rezolutnie zawołał — czymkolwiek jesteście, samego mię nie rzucajcie! Jur nie jestem, alem Jura *amicus*<sup>114</sup>. Prawdę

<sup>112</sup>*alszbant* (z niem.) — naszyjnik, taśma ozdobiona klejnotami a. naszywany klejnotami gorset kobiecy. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*plecyma* — dziś popr.: plecami. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*amicus* (łac.) — przyjaciel. [przypis edytorski]

wyznałem, łaska mi się należy. Jeślim w niewoli waszej, niechże to nie będzie jasyr tatarski, a jeślim wam niepotrzebny, na wolność mię puście...

— Akurat! Żeby waćpana straż marszałkowska capnęła! — ozwał się głos z wysokości.

Młodzian przeszedł w ton lamentacyjny.

— Mamże więc żyć samotny jak pelikan w puszczy? Mamże kwiatami się karmić jak nieboszczyk Nabuchodonozor? Mamże rosę nocną mieć za napój jak pliszka i skowronek?

— Krzywda się waćpanu nie stanie! — uspokoił go ten sam głos, co przedtem.

Szczerb rozczulać się jął<sup>115</sup>.

— Nimfy lekkostope! — zawodził — syreny słodkośpiewne, panienki... o! paa... nien... ki...

W tej chwili pociemniało mu w oczach i w całym sobie osłabienie uczuł wielkie. Wyciągnął ręce i kroków kilka postąpił, szukając oparcia. Napotkawszy drzwi jakieś otwarte, rzucił się w nie ruchem instynktownym. Zaraz też padł, tracąc przytomność...

Gdy po długim letargu oczy rozemknął, zdało mu się, że już jest do innego świata przeniesiony.

Było mu dobrze, miękko, wonno. Pławił się w osobliwej atmosferze, zielono-złotej, ruchomymi światłami tu i owdzie roziskrzanej. Nad głową jego bujały się banie różnokolorowe, na złotych łańcuszkach wiszące. Gdyby nie łańcuszki owe, wziąłby je pewno za planety. Dokoła unosiły się zapachy. Powietrze drżało dźwiękami subtelnymi, niby dzwoneczków kryształowych dzwonieniem.

Przymknął oczy, poddając się wrażeniom rozkosznym. Było mu zresztą tak, jakby spoczywał na chmurach. Nie czuł ciężaru własnego ciała i nie czuł, by z czymś materialnym pozostawał w zetknięciu.

Jeśli zaś był jeszcze człowiekiem, to pozornie tylko i symbolicznie. Jego głowa nie była głową, jego ręce nie były rękami. Dowodem to, że ani w jednym, ani w drugim władzy nie czuł najmniejszej.

Zmieniło się jednak położenie, gdy po pewnym czasie oczy powtórnie otworzył. Poznał wówczas, że znajduje się po prostu w altanie, która była na kształt kiosku wschodniego urządzona. Światło zielone pochodziło od gąszczy powojów, które miejsce ścian zastępowały. Rolę dzwoneczków kryształowych pełniły wróble i jaskółki. Zapach wydobywał się z kwiatów dokoła rosnących. Planety były lampami.

Poznał wreszcie, że nie na chmurach leży, ale na pierzynie i że członki jego nie są symbolami, ale członkami najrzeczywistszymi. Stwierdziła to dostatecznie okoliczność, że każdy z nich prawie srodze go bolał. Rzeczywistość ta jednak wydała mu się równie cudowną, jak poprzednie urojenie. Umysł jego mgły jeszcze mroczyły i wypadków poprzedniej nocy nie pamiętał. Chwila obecna następowała dlań bezpośrednio po bytności u imć pana Agły, w lochu pod Ratuszem.

Z wysiłkiem niezmiernym wykręcił głowę i w bok spojrział. Stał przy nim stoliczek turecki, niziuchny, masą perłową wykładany. Na stoliczku znajdowała się misa pełna wody, dzban srebrny, także kubki oraz kilka mniejszych i większych słoików. Leżały też szmaty płócienne, kształt bandaży mające.

Zdobył się na nowy wysiłek i rękę w stronę stoliczka wyciągnął.

W tej chwili tuż ponad głową jego dały się słyszeć po raz trzeci dwa znane mu głosy: „ach!” i „och!”. Tym razem głosy te były westchnieniami. Zdawały się one mówić: „Chwałaż Ci, Boże!...”

W kierunku głosów tych zwrócił spojrzenie i... zadrżał. Zadrżał nie z trwogi, lecz z zachwyty. Wśród białych i białoróżowych kielichów powoju przeświecało gwiazd świetnych czworo. Dwie gwiazdy były ciemne, dwie modre. Turkusów para, rzekłbyś, i para czarnych brylantów.

Junak opanował wzruszenie i wzrokowi swemu wyraz miłosny a błagalny razem nadał.

— Duchy opiekuńcze! — słabym rzekł głosem. — Jeśli w raju jestem, nie skazujcież mię na pragnienie piekielne! Cóż mi stąd bowiem, że dzban zacny widzę przed sobą, skoro sięgnąć doń nie mogę...

Gwiazdy znikły.

<sup>115</sup>jąć — zacząć. [przypis edytorski]

Ale nie upłynęło „Zdrowaś Maria”, gdy jedna ich para (ta, która od czarnych brylantów świetność swą brała) pojawiła się u wejścia do altanki. Należała ona do niewiasty młodej i żywej. Po tej właśnie żywości, w ruchach ujawnionej, młodość się poznawało, lica bowiem zakrywała, w całości niemal, chustą o barwach jaskrawych. Zresztą strojący ją a dość skromny giermaczek<sup>116</sup> z szarego muchajeru<sup>117</sup> nie ujawniał ani bogactw, ani wytworności.

Podeszła szybkim krokiem do ławy darniowej, na której spoczywał Szczerb, pierzynami obłożony, i w milczeniu wina mu naląła.

Młodzian chciał unieść się, aby ją po kawalersku pozdrowić, ale mocy mu zabrakło. Oczy tylko w górę wznosił i rzekł tym samym co wprzód tonem:

— Duszo niebiańska, przyjm chęci za uczynek. Chęci zaś moje są, aby ci hołd złożyć i wargami obuwia twego dotknąć...

Na to zaś ona:

— Daj waszmość pokój oracjom. Nie nakarmią cię ani napoją. Ranom też twoim niewielka pomoc z nich będzie. Nie w raju jesteś ani do duszy przemawiasz.

Oczy Szczerba przybrały wyraz ciekawości niezmiernej.

— Gdzieżem jest przeto — zapytał — i skąd się tutaj wziąłem?

Nieznajoma ręką kubek wskazała.

— Pij waszmość wprzód — potem usłyszysz...

Młodzieniec usłuchał. Wino gładko mu przeszło przez gardło. A musiał to być trunek szlachetny, bo wpływ jego wnet czuł na sobie. Oprzytomniał i poweselał. Od razu też wróciła mu pamięć nocy wczorajszej...

— Bóg zapłać! — wyrzekł, wierzchem dłoni wąsy ocierając. — Jeśli to nie raj, tedy z pewnością sławetnego Szeligi gospoda. A dalibóg, prawieć to jedno...

— Myślałam — wtrąciła kobieta — że tylko Włochy słodkie słowa prawieć umieją. Widzę, że przylgło<sup>118</sup> to już i do naszych...

— Ponoć w tym domu słodyczom włoskim nie krzywi...

Czarne oczy zabłysły niecierpliwością.

— Jak to waszmość rozumiesz? — spytała żywo nieznajoma.

Szczerbowi wróciła fantazja.

— Rozumiem po prostu — rzekł z dziwnym nieco uśmiechem. — Córka szlachetnego Szeligi w grajku od Fary zakochana!

Kobieta rzuciła się gwałtownie, poruszeniem tym połowę twarzy odkrywając. Młodzieniec dojrzał przy tej okazji, że była świeża i urodziwa, jeno śladami ospy tu i owdzie naznaczona.

— Kłamstwo to jest! — wykrzyknęła. — Kłamstwo i kalumnia! Krewniczka Basi jestem i powiernica, wiem przeto, co ma w sercu. O Włocha tyle stoi, co o łątkę<sup>119</sup> z jasełek!

— Ale lutni jego lubi słuchać... Ale przed serenadą do alkierza nie ucieka...

— To i cóż! Ja lubię organy u Augustianów, a organista dla mnie niczym!

Szczerba argument ten pokonał. Zamilkł i w milczeniu wąsy jął nastrzępiał. Nagle uczuł między żebrami ból dojmujący. Syknął i ręką za bok się chwycił.

— Przekłętnik! — zamruczał. — Cał głębiej, a serca by sięgnął. A i bez tego krew mógł być wytoczyć. Cóż to jest jednak? Bandaż?

Dopiero teraz pod palcami poczuł, że ma kaftan przecięty i ranę obandażowaną.

— A! — westchnął i wzrok w licach kobiety zatopił.

Oczy jego najpierw dziwiły się i pytały, następnie wzruszeniem i miłością zabłysły.

— I znowu wątpić muszę, czym na ziemi, czy w raju? — rzekł półgłosem. — I tegom również niepewny, czy białogłowa przy mnie, czy anioł?

Kobieta zaśmiała się i chustkę z twarzy odrzuciła.

— Raz więc nareszcie pozbądź się waszmość swych wątpień! — wesoło rzekła. — Alboż anioły bywają tak szpetne! Rzekłam, że Basi krewniczka; teraz dodaję, że Kalinowska jestem z ojca, a na imię mi Dobra.

<sup>116</sup>*giermaczek* (z tur.) — długa suknia wierzchnia; element stroju męskiego do XVII w. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*muchajer* (z tur.) — tkanina z wełny. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*przyłgło* — dziś popr.: przylgnęło. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*łątką* — lalka. [przypis edytorski]

— I to waszmościanka ranę mi opatrzyłaś?  
 — A któż by? U nas, prócz kulawego stróża przy składach, mężczyzny ani poświecić.  
 — I potrafiłaś wstyd białogłowski przemóc?  
 — Miałamże dla wstydu pozwolić, by waszmości krew uszła? I tak niemało jej postradał<sup>120</sup>.  
 — Któż waszmościankę z rannymi obchodzić się nauczył?  
 — Nieboszyk rodzic mój, który umiejętność tę z jasyru tatarskiego przywiózł. Zwykł on być mawiać, że niewiasta, choćby najmłodsza, matką dla mężczyzny być winna...  
 — I waszmościanka do nauki jego stosujesz się?  
 — Rada bym...  
 Młodzieniec zamilkł i tylko brwi ściągał, a wąsa coraz wyżej zadzierał...  
 — No, no! — pod nosem mrucał — jakim Szcherb!... No, no!...  
 Raptem zasępił się.  
 — A Jur? — głosem niespokojnym spytał.  
 Dobruchna w odpowiedzi rozsunęła nad głową jego powoje i wskazała w oddaleniu wystający ponad dachy kamieniczne ostry szczyt wieży. Rysował się on twardo i wyraźnie i na kształt wielkiej iglicy zdawał się przesywać nisko płynące chmury.  
 Szcherb zrozumiał i w większy jeszcze wpadł smutek.  
 — A tamci? — podjął.  
 — Z nim razem.  
 Z kolei powiódł wzrokiem pytającym dokoła siebie i po sobie i dodał ciszej:  
 — A... ja?  
 — Waszmość, jako przyjaciel Jurasia, dostałeś się do jego przyjaciół. Otwarliśmy furtkę od uliczki, aby wpuścić was obu; drugi jednak już do niej nie zdążył...  
 — Waszmościanka wolałabyś pewnie, żebym to ja był tym drugim...  
 — Z uwagi na Basię, tak. Waszmości nie znałam, byłeś mi przeto obojętny.  
 — Podoba mi się ta szczerłość. Zresztą nic jeszcze straconego. Ja się wnet usunę, a moje miejsce Jur zajmie — gdy już wieżę odsiedzi.  
 — Gadasz waszmość faramuszki. Ani Juraś tu nie wejdzie przed powrotem pana Balcera, ani też odwrót waszmości nie będzie tak prędkim, jak mniemasz.  
 — Wyjdę dziś jeszcze...  
 — Daj Boże pojutrze...  
 — Wyjdę zaraz.  
 — Nie puszczę.  
 — Ba! Mogę nie pytać o pozwolenie!  
 — Furta zamknięta, parkan wysoki, a marszałkowscy węższą w ulicce.  
 — Więc to niewola?  
 — Zgadłeś waszmość.  
 — Ha, ha, ha! I dopókiż trwać będzie?  
 — Dopóki się rana nie zagoi.  
 — Do rany cyrulika<sup>121</sup> wziąć można.  
 — A „artykuły marszałkowskie”?  
 — Ho, ho! I w tym waszmościankaś biegła<sup>122</sup>?...  
 — Stryjek mój *consul*<sup>123</sup>, a chrzestny ojciec *advocatus*<sup>124</sup>. Wiem, że cyrulik, który opatruje rannego, donieść ma o nim marszałkowi pod winą czternastu grzywien.  
 — Prawda. Więc będę siedział. Ale skąd waszmościance miłosierdzie takie nade mną?  
 — Trochę nieba chcę sobie kupić. Książd Skarga do pielęgnowania rannych nawołuje i nagrody wielkie przyrzeka. Spróbować nie wadzi.

<sup>120</sup>niemałość (...) postradał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: niemało postradałeś; niemało straciłeś. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>cyrulik — daw. osoba wykonująca drobniejsze zabiegi medyczne i pielęgnacyjne (w tym m.in. golenie). [przypis edytorski]

<sup>122</sup>w tym waszmościankaś biegła — w tym jesteś waszmościanka biegła; być biegłym w czymś: znać się na czymś dobrze. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>consul (łac.) — radny miejski. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>advocatus (łac.) — adwokat, prawnik; tu: wójt. [przypis edytorski]

— Tym bardziej że bez cyrulika i inna cnota chrześcijańska wejść tu może w praktykę...

— Jaka?

— Ta, która na „grzebaniu zmarłych” polega.

— Te, te, te!... Rana waszmości wierzchnia jest; żelazo do kości nawet nie doszło. Na upływie krwi się skończy. Znam się na tym. Prócz tej jednej rany są tylko sińce, zdrapania — no i dziury w żupanie...

Zaśmieli się oboje.

— Teraz waszmości opuszczę — rzekła po chwili Dobruchna. — Inni na mnie czekają. Spokojnie leżeć doradzam i każę. W tym dzbanie znajdziesz waszmość wino, a w tamtym wodę kryniczną. W większych słoikach są sorbety, w tym zaś maleńkim balsam cudowny, który goi rany najzawziętsze. Z bandażowaniem zaczekać proszę do mego powrotu.

Skinęła lekko głową i znikła.

Szczerb patrzył długo na słoneczny otwór altany, gdzie mu przed zniknięciem postać jej w pełnym świetle zabłysła — i tęsknością serce mu zapłonęło. Aby tęskność zwalczyć, sięgnął po wino. Drugi kubek poszedł głódziej jeszcze od pierwszego. Ale okazało się, że gdy tamten miał moc orzeźwiania, tego wpływ był wręcz przeciwny. Młodzieniec doznał wrażenia, jakby pierzyna pod nim rozstępować się jęła, trawy się rozplywały, on zaś sam zapadał w przepaść jakąś miękką, ciepłą, puchową... Poty nań wystąpiły — zasnął.

Obudził go promień słońca, który, znalazłszy szczelinę pomiędzy powojami, w same oczy mu świecił. Promień był czerwony, co wskazywało, że słońce zachodu już bliskie.

— Uuuu! — zawołał, przeciągając się z lubością. — Smacznyż to był sen!...

W tejże chwili spojrzenie jego na stolik padło.

— Oooo! — zaśpiewał. — Pono przebudzenie smaczniejsze jeszcze!...

Na stoliczku stały farfurki<sup>125</sup> jedzenia pełne. Był tam ptak jakiś pieczony; był sos żółty, tak gęsty, że łyżka w nim tkwiła jak w maśle; były owoce na sposób włoski w cukrze osmażane; było wreszcie ciasto, taką masą szafranu zaprawne, że z daleka powonienie drażniło.

W nagłym napadzie wilczego apetytu rzucił się młodzian na przysmaki owe i nie upłynęło minut pięć, jak wszystko zmiotł do szczętu.

Zaledwie usta otarł i odetchnął, zjawiała się Dobruchna.

Mniej była śmiała niż rano i do mówienia nie tak ochotna. Przyniosła dzban wody świeżej i potrzebę opatrzenia rany przypomniała.

Szczerbowi wraz z siłami powróciła kawalerskość.

— Ależ ja nie pozwolę — bronił się — byś waszmościanka tyle się dla mnie trudziła...

Ona jednak w milczeniu, z uśmiechem łagodnym i uprzejmą stanowczością, pełniła swe dzieło. Wodę ze dzbana na misę wylała, bandaż świeży rozwinęła, słoiczek z balsamem otwarła. Potem, na ziemi przykląkwszy i rozchyliwszy kaftan, który był rozmyślnie na całą długość przecięty, dawny opatrunek zdejmować jęła.

Na wszystkie zaś przekładania jedną miała odpowiedź:

— Tak trzeba...

Tym razem, protestów zaniechawszy, pomagał jej i sam Szczerb. Opatrunek rychło ukończono.

Na podziękowanie chciał młodzian dobrodziejce swej końce palców ucałować, ale umknęło mu ich zręcznie.

Dobruchna z pośpiechem zgarniała do koszyka naczynia, uprzątnęła stolik i wodę rozlaną wycierała. Ruchy jej były zakłopotane jakieś i niezręczne, jakby mieszało ją spojrzenie Szczerba, nieustannie za nią chodzące.

Opuszczając altanę, już w progu rzekła:

— A może waszmość żądasz, by kogo z rodziny o wypadku powiadomić?...

Szczerb uniósł się na posłaniu i gorzko zaśmiał.

— Bóg zapłać! Dość oni szczęśliwi, bym ich potrzebował nową obdarzać pociechą!...

— Pociechą? — powtórzyła ze zdziwieniem Dobra.

<sup>125</sup>farfurki (z tur.) — talerze fajansowe. [przypis edytorski]

— Toć miesiąca nie ma, jak rodzic mój gody ślubne pani duszce sprawił. Słodczy im nie braknie...

— A! Dostałeś waść macochę?...

— Wężam jadowitego dostał!

Nasrożył się przy tych słowach, węża w dół pociągnął i zębami go przygryzł.

— Gdyby jejmości rzeknęto — dodał po chwili — „pasierb twój ranę otrzymał”, spytałaby niechybnie: „a czy aby nóż był zatruty?...”

— A! — westchnęła Dobruchna i oczy dotąd spuszczone na młodzieńca podniosła.

On już jednak tego, co spojrzenie ich wyrażało, wyczytać nie mógł. Altanę cienie zaległy głębokie; duszę zaś Szcherba osiadła głębsza od nich zaduma.

Gdy się z niej ocknął, już nikogo przy nim nie było.

Nazajutrz powtórzyło się wszystko tąż samą koleją. Po przebudzeniu znalazł młodzian pod ręką sute śniadanie i dzban niepróżny. Podjadłszy i podpiwszy, uczuł się już o tyle silnym, że wstał i odzież na sobie jako tako uładziwszy na ogród wyjść się zabierał. W tejże chwili jednak zawołano nań przez powoje:

— Krokiem waszmość ruszać się nie waź! Marszałkowsy szpiegują dokoła, a na dziardyn<sup>126</sup> nasz z dwóch baszt widok otwarty. Do wieczora przechadzkę zostaw...

— A cóż ja nieszczęsny robić tu będę? — jęknął.

Odpowiedzi nie było.

Okolo południa zjawiała się Dobra z obiadem. Bez chustki przysła, w odzieży strojnieszkiej i z żółtą różą w czarnych jak smoła włosach.

Szcherb z prośbą wystąpił, by z nim posiłek podzieliła. Wzdragala się długo, wreszcie zgodziła się wypić wina trochę i zjeść ciasta słodkiego kawałek.

Jedząc, rozmawiali.

Najpierw młodzieniec zadał kilka pytań dotyczących Basi i jej serca. Na te pytania odrzekła tak:

— Serce dziewczki szesnastoletniej (bo naszej Baśce idzie dopiero na siedemnasty) tajemnicą jest dla wszystkich, a głównie dla niej samej. Czy w tym sercu mieszka Juraś, na to bym nie przysięgła, ale że nie ma tam Dziana, ręczę. Co do mnie, z duszy całej pragnę, abym jako druhna swej krewniaczki młodego Zawisłaka przed ołtarz powiodła...

— Jeśli jednak Jur jest jej obojętny?... — wtrącił Szcherb.

— Obojętny nie jest. Lubi go. Nieraz pragnęłaby zobaczyć się z nim i zabawić. Gdy owej nocy dostrzegła z belwederku godzące w niego żelazo, omal nie zemdląła. Przeszedłszy do zmysłów, biec chciała w zaułek i piersią go swą zastawić...

Z kolei przeszli do wynurzeń osobistych.

Dobra opowiedziała sieroctwo swoje. Chleb, którym ją karmiono w domu krewnych, omaszczony był suto, a jednak gorzki. Raziła ją dewocja Ofki i oschłość stryjka Jana, dokuczały czasami rozpieszczonej Basi kaprysy. Najznośniejszy był jeszcze stryjek Balcer, ale ten właśnie, jak na złość, niemal ciągle poza domem przebywał.

Mimochodem napomknęła o sumce, jaką ma u Szeligów. Nie było tego wiele, ale i nie było mało: dwieście czerwonych złotych z procentami...

— Dwieście czerwieńców! — zawołał Szcherb. — To tyleż właśnie, ilem dostał od tatusia, by mu się więcej na oczy nie pokazywać!

Dziewczyna westchnęła.

— Pewno rodzeństwo waszmość masz liczne? — spytała.

— Jeden jestem jak palec. Ale i jednego czasem zanadto!

Dało się słyszeć długie westchnienie.

Młodzian w odpowiedzi zrobił taką minę, jakby drwił z całego świata — od siebie samego poczynając.

— O owych czerwieńcach — z fantazją dodał — historia jest taka. Podzieliłem je na trzy garście. Pierwszą garść przepiłem; drugą przepijam; trzecią przepiję. *Bibi, bibo, bibam*<sup>127</sup>.

— A potem co? — z trwogą zapytała Dobra.

<sup>126</sup>dziardyn (z wł.) — ogród. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>bibi, bibo, bibam (łac.) — piłem, piję, będę pił. [przypis edytorski]

— Potem będzie, co zawsze na końcu bywa, a co również było i na początku. Na początku zaś było — nic.

— Na początku było słowo — poprawiła dziewczyna.

— Mówię: nic, i swego nie cofam. Nic rodzi nic i kończy się niczym. *Clarum est*<sup>128</sup>.

Dobruchna obruszyła się...

— Ech! Gadasz waść brzydko — jak socynianin<sup>129</sup>...

— Jak syconianin raczej — miód bowiem sycony czczę nade wszystko.

— Nie chcę słuchać herezji takich!... Odchodzę!

Więc junak dał pokój żartom i gniewną dziewczynę przeproszać jął. Bez trudności zresztą zgoda między nimi wróciła.

Dni takich upłynęło jeszcze dwa. Rana pod balsamem i bandażami cudownie się goiła; sińce barwy nabierały żółtawej, a po zadrapaniach ślad nawet ginął. Jedzenia dobrego było zawsze w bród, wina także. Młodzieńcowi niewola wcale się nie przykrzyła, pomimo że dopiero z zapadnięciem zmroku z kryjówki mógł wychodzić.

Basia przez cały ten czas nie pokazała się w ogrodzie ni razu.

Nareszcie trzeciego dnia, a czwartego wieczoru (który bezksiężycowy był i ciemny), strażniczka oświadczyła więźniowi swemu, że mu wolność powraca. Podziękował, bez nadmiaru jednak radości. Ona również cieszyć się tym zbytecznie nie zdawała.

Otworzono z klucza i ryglów furtę zamczystą. Dobruchna wyjrzała w zaułek. Nic podejrzanego nie dostrzegłszy, rzekła:

— Można...

Wówczas Szczerb, zwyczajem ówczesnym, czapkę zdjął, dłoń nią okrył i okrytą dziewczynie podał. Ona ruchem wstydliwym i ostrożnym położyła na niej swą rączkę. Młodzieniec rączkę tę do ust podniósł i ucałował, a potem i do piersi przycisnął.

— Do zobaczenia! — rzekł.

— Rychłego... — szepnęła ona.

Furta zamknęła się.

Szczerb unosił z sobą różę żółtą, podobną do tej, którą dziewczyna we włosach miała.

Może to nawet była ta sama róża...

## VII. SIEĆ DLA MUCHY

— „...Aby żaden nie ważył się w miastach, na zjazdach publicznych, po przedmieściach i w okolicznościach jego i na każdym innym miejscu pod rezydencją naszą z rusznicami, z czekanami — słysz waść: z czekanami! — z kilofami, z broniami niezwykajnymi chodzić, a kto by się tego ważył: przez urząd marszałkowski ma być czternastą grzywien karany *ex delatione cuiusvis*<sup>130</sup>”.

Czytający odsapnął i dobytą z zanadru chustką załzawione oczy otarł.

I znów na ceglanej posadzce zadźwiętkło<sup>131</sup> podkute obuwie Jura, który szczupłą celę wieżową z końca w koniec szybkimi przemierzał krokami.

— A dalej co? — po małej przerwie zapytał.

— *Patientia*<sup>132</sup> — zaśpiewał tamten przez nos. Sięgnął pod zydel i z kufła glinianego z cynową nakrywą tęgi łyk piwa pociągnął. Zaraz potem, nos czerwony pomiędzy papiery wetknąwszy, wziął się na nowo do czytania.

— „Gdzie by też kto, na którymkolwiek przy bytności naszej miejscu, zwadę zaczął, policzek komu albo razy sine zadał, broni dobył, choćby nie ranił, ma być karany winą”.

— Winą? — powtórzył Jur niecierpliwie w miejscu stając i podkówką cegłę krusząc.

— „Winą... Winą...” — ciągnął czytający opieszale, jakby z niepokojem młodzieńca drażnić się chciał. Pergamin chustą strzepywał, do samych oczów przykładał, wreszcie głosem dobitnym dokończył:

— „Winą sześciuset grzywien i siedzeniem w wieży pół roku”.

Podkówka silniej uderzyła o cegłę, aż kurz czerwony z niej poszedł.

<sup>128</sup>*clarum est* (łac.) — to jasne. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*socynianin* — arianin, zwolennik nauki Fausta Socyna (1539–1604). [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*ex delatione cuiusvis* (łac.) — z czyjegokolwiek oskarżenia. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*zadźwiętkło* — dziś popr. zadźwięczało. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*patientia* (łac.) — cierpliwość. [przypis edytorski]



— Koniec? — spytał młodzieniec porywczo.

— Jedno jest jeszcze. „Kto by *ex contentione*<sup>133</sup> albo z pijaństwa rany komu zadał opodal Zamku, na ulicy albo na którym innym miejscu, takowy, odkupując gardło... odkupując gardło...”

— Kończcie waść, do biesa!

— „Takowy, odkupując gardło, winę dwóchset grzywien, *parti et officio per medium*<sup>134</sup>, zapłacić będzie powinien i w wieży ćwierć roku siedzieć”.

— To wołę... — mruknął Jur, jasną bródkę gładząc.

Tamten w chustę brudny nos wytarł, potem ją po czole, policzkach, brodzie i szyi przesuwał. Do kufła potem zajrzał i nosem długim wąpiąco jął kiwać.

— *Incertum est*<sup>135</sup> — zauważył. — Rzecz jest niepewna. Czymże bo waszmość stwierdzisz, żeś działał w pijaństwie?...

— Dwóch nas było.

— Ba! Drugi placu nie dotrzymał. *Fugam fecit*<sup>136</sup>.

— Co?

— Mówię: *fugam fecit* lub, jeśli waść wolisz łacinę piękniejszą, *in fugam se dedit*<sup>137</sup>...

— Ha, Bóg z nim. Choć nie powinien był druha w przygodzie opuszczać. Ale dokąd uszedł? Którędy? Chyba ziemia się pod nim rozstała?

— Bywa i tak. Zresztą ścigać go można...

— A! Strzeż mnie Boże. Uszedł, nie ma go, i basta. Na mnie padło — wycierpię. Usiadł na ławie i zadumał się.

— A owymże — zapytał nagle — nic nie będzie?

— O kim waść mówisz? O Włochach?...

— Tak.

— Ha... no... niby... hm...

— Cóż to? W gardle waści zardzewiało, czy co? Mruczysz, a nie gadasz. Odpowiedzią było spojrzenie wymowne, na kufel próżny wrócone.

Jur zrozumiał. Do drzwi okutych podszedł i zapukał w nie lekko. Uchyliły się odrobinię i przez szparę wąską ukazała się w nich kudłata głowa sługi miejskiego. Nad głową zabłysło ostrze halabardy.

— Frącku — rzekł więzień do strażnika — masz jeszcze „wareckie”<sup>138</sup>?

Głowa pochyliła się przytakująco i zniknęła. Po chwili ukazała się w szparce ręka dzierżąca dzban kształtu konwi. Ku ręce tej właściciel kufła podreptał szybko ze swym naczyniem, które zaraz też napełniło się trunkiem pienistym. Drzwi zawarto i rygiel w nich zaskrzypiał.

— No, mości Kleofasie! — rzekł Jur. — Dar mowy wrócił ci już pewnie?

Staruch z czerwonym nosem kufel odstawił i pianę, na wąsach obwisłych pozostałą, wargami jął wysysać. Dopiero z tym się załatwiwszy, do papierów swych powrócił.

— Co się tknie Włochów — mówił z wolna, ociągając się — dwa do nich *puncta*<sup>139</sup> zastosować można. Z obu jednak pociecha niewielka. Marszałkowi interpretować je wolno, jak zechce. A Myszkowski... — tu głos zniżył i niespokojnie w stronę drzwi zerknął — Myszkowski... no, wiadomo...

Nie dokończył i do wysączenia kropli ostatnich w milczeniu się zabrał.

— O Myszkowskim powiadają — Jur podjął — że odda trzech szlachty polskiej za jednego psa włoskiego...

— Tssss!... Nie tak głośno!... — szepnęła Kleofas. — Choć nie fałsz to żaden, jeno prawda. Sam to kiedyś na Zamku rzekł!...

— Wypomną mu to przy okazji! A *puncta* owe?

Czerwony nos zanurzył się w papierach.

<sup>133</sup>*ex contentione* (łac.) — w bójce. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*parti et officio per medium* (łac.) — po połowie stronie (pokrzywdzonej) i urzędowi. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*incertum est* (łac.) — to niepewne. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*fugam fecit* (łac.) — uciekł. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*in fugam se dedit* (łac.) — podał się do ucieczki. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*wareckie* — piwo z Warki nad Pilicą. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*puncta* (łac.) — punkty. [przypis edytorski]

— *Punctum* pierwsze — czytać jął stary. — „Ten, który by *in iusta defensione vitae, gravi lacessitus iniuria*<sup>140</sup> kogo zranił, *arbitrio*<sup>141</sup> — sądu marszałkowskiego *subiacebit*<sup>142</sup>”.

— A drugie?

— „Trąbienia żadne, oprócz stołów i wjazdów przednich panów senatorów, także i na surmach grania, osobliwie w nocy, aby nie były”.

— Winy nie oznaczono?

— Nie.

— Hm... Bez szkody żadnej wyjść mogą.

— Nie powinni — ale mogą. Tak będzie, jak się marszałkowi podoba. *Quod libet, licet*<sup>143</sup>...

Jur ręce zaplótł w gniewie bezsilnym.

— Wszelako nie powinni! — powtórzył Kleofas, jakby dla dodania młodzianowi animuszu. — Na ostre szli. Krew była po stronie waszej — sińce jeno u tamtych... Waszmościa niezawodnie mocno poturbowano?

Jur ręką pogardliwie machnął.

— Rany wszystko płytkie. Tuszcz cyrulicy goi je ledwie nie na poczekaniu!

— To źle. Gotówem<sup>144</sup> jaskrów przynieść, byś sobie waść jątrzył miejsca skaleczone...

— Ale i u tamtych chyba nie same sińce. Pomnę, żem grajkowi dobrze raz dojechał. Gdyby nie aksamit na łbie śliski, byłby *mortuus*<sup>145</sup>.

— Tsss! — syknął stary ostrzegająco. — *Prudentia et vigilantia*<sup>146</sup>. Czuj, bracie, i język na uździe trzymaj. A teraz Bogu cię zlecam — mnie gdzie indziej czekają.

Stary podniósł się z zydła, papiery pozbierał, w kieszenie je powtykał i krokiem niepewnym ku drzwiom postąpił.

Jur zbliżył się i monetę srebrną w rękę mu wsunął.

— Bez rady mnie rzucacie, mości Kleofasie? — zapytał z wymówką.

— Radęm dał. Milczeć, czekać i Bogu sprawę zlecić. Zresztą zająć tu jeszcze kiedy mogę — jak znowu Frącek straż będzie trzymał.

Na znak umówiony drzwi od zewnątrz odryglowano i stary wyszedł, nieco się zataczając.

Jurowi tajemna ta porada zamiast pociechy niepokój przyniosła. Ów suszykufel, z równą pilnością badający zawartość statutów, jak dzbanów, odsłonił przed nim brzydką stronę sprawy, której dotąd należycie nie pojmował. Jasnym mu się zdało od razu, że stoi na brzegu przepaści.

Białe czoło dłonią tarł, włosy na głowie i brodzie rozwichrzył, choć mu cyrulik marszałkowski spokojność zalecił, biegał po szczupłej celce jak szalony.

Dwieście grzywien, kwartał, a może i pół roku zamknięcia, niesława publiczna, ciężkie strapienie matki, tryumf nienawistnego rywala... Ach! Było od czego naprawdę oszaleć.

A Basia? Któż zaręczy, że dziewczka tak młoda jeszcze i tak mało samodzielna postępku jego fałszywie nie osądzi? Może nawet, uległszy podszeptom intrygantów, potępi go zań i przyjaźń mu swą odbierze? Teraz dopiero pojmował, że gwałt zrobiony nocą pod oknami białogłównych szlachetnych, a męskiej opieki czasowo pozbawionych, był czynem niemal sromotnym. W głowie mu kołowało, gorączki dostawał, kłął w głos Agłę, Bolka i siebie...

O matce myśleć nawet nie śmiał. Staruszka zamartwi się chyba. Taki wstyd! Taka niesława! Taki grom z najpogodniejszego w świecie nieba! Przy tym i te grzywiny, i to bezrobocie przymusowe wcale nie w porę przychodzą. Właśnie mieszczanin nowomiejski, co rolę Zawisłaków dzierżawi, zaległ z czynszem; magnaci za robotę nie płacą, zamówień niewiele, podatki rosną, na dworku dach zapada, a mistrz od astrologii, co ze starej złotniczki bóle krzyża wyprowadza, wyciąga zarazem z jej kiesy czerwienice za czerwienicami, wyobrażając snadź<sup>147</sup> sobie, że o dukaty na ziemi równie łatwo, jak o planety na niebie.

<sup>140</sup>*in iusta defensione (...) iniuria* (łac.) — w słusznej obronie życia, ciężką podrażniony obelgą. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*arbitrio* (łac.) — wyrokowi. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*subiacebit* (łac.) — będzie podlegać. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*quod libet, licet* (łac.) — co się podoba, to wolno. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*gotówem* — gotów jestem. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*mortuus* (łac.) — zabity; trup. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*prudentia et vigilantia* (łac.) — przezorność i czujność. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*snadź* (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

Wreszcie o wszystko mniejsza, byle dziewczka była stałą i miłować go chciała. Ale brakło mu, niestety, i tej właśnie, ze wszystkich najważniejszej, pociechy!

Wzdychał i biadał; palce gryzł i ocierał oczy, do których mu łzy bezwiednie napływały. Znikąd nie spodziewał się ratunku. Czuł, że go chwycono w kleszcze, z których już się cało nie dobędzie. W marszałku widział siłę ślepią i fatalną, co zmiażdżyć go miała; paragrafy statutów wydawały mu się wężami, które z sykiem i gwizdem pełzły doń, by go opasać i zdusić...

Pomiędzy nim a Basią stanął nagle mur nieprzebyty, a cegły do tego muru sam on zniósł, przez porywczosć swą i zaślepienie. Alboż nie było rzeczą pewną, że gwałt zrobiony *intra muros*<sup>148</sup> zaprowadzi go do wieży i niesławą okryje.

Co by powiedział na to rodzic jego, statecznością słynący, do urzędów publicznych powoływany i w kole ławniczym nierzadko zasiadający!

Czyż córka jedyna Balcera Szeligi, patrycjusza Starej Warszawy, spojrzeć nań teraz zechce? Ba! Toć dziwem by nawet nie było, gdyby przełożyła nad niego Włocha, który pod jej okna nie z burdą pijacką, jeno ze słodkimi wybrał się pieśniami...

Brrrr! Ta myśl ostatnia ostrzem noża serce mu przeszyla. Basia odwracająca się od niego ze wzgardą... Basia oddająca białą rękę Gianowi, w atłasy i aksamity strojnemu... Basia u boku znienawidzonego rywala, szczebiocząca *io t'amo*<sup>149</sup> z pełnym miłości i szczęścia wejrzaniem... A! Piekło nawet katuszy takich nie wymyśli!

Jur zasłonił oczy rękami, aby obrazów okropnych nie widzieć. Nie pomogło to jednak. Wyobraźnia rozgorączkowana pokazała mu jeszcze najbogatszą z komnat Balcerowskich, a w niej gody weselne Basi i Giana, obok zaś: loch ciemny, a w nim jego samego, na wiązce słomy zbutwiałej...

To widzenie dopełniło miary.

Młodzieniec głowę pochylił i łzy gorące po twarzy mu pociekły...

O zmroku, gdy wartę przy drzwiach złuzowano, wszedł do celi Frącek, kaganek wnosząc zatłony<sup>150</sup>. Widząc więźnia srodze strapionego, pocieszać go jął. Chłop to był prosty, dzięki jednak ciąglemu ocieraniu się o sprawy więzowe wiedział o nich niejedno.

— Panisko się nie gryź... — tonem rzekł pocieszającym — sprawa wždy<sup>151</sup> nie gardłowa!...

Jur westchnął tylko.

— I do „fundy<sup>152</sup>” paniska nie wsadzą — ciągnął Chrzan. — Trupa nie było.

— Ale tyle miesięcy zamknięcia! Ale sromota okrutna!

— O wa! Z wina to przecie poszło, nie z charakteru. Z wina i z prędkości. A te miesiące to i cóż? Przelecają jak z bicza trzasł!

— Co ja tu będę robił! — biadał więzień, głową jak talmudzista kiwając.

— Krzywdy panisko nie dozna. Ja w tym i starosta. Wždy to kum waszmościnego rodzica — pan dobry dla swojaków, a dla miemców jeno kat. Już on i tym waszmościny muzykantom zalał sadła za skórę!

— Włochom?

— Tak, miemcom. Zamknął ich do takiej dziury, gdzie jeno nietopyrz wytrwa. Niby to z tej racji, że lepsze izby zajęte. Lamentują też, psiawiary, oj, lamentują, aż się na całą okoliczność rozlega...

Jur słuchał tego z widocznym ukontentowaniem.

— Ale im nic nie będzie... — westchnął. — Napadnięci są, nie napastnicy. Upieczę im się z pewnością.

— Pewności to tu jeszcze nie ma.

— Marszałek osądzi ich łaskawie. Przecie Włoch to z duszy i z odzieży!

— Właśnie, że sądzić będzie inny. Jegomość pan Myszkowski ma w Zamku robotę. Osądzi pisarz.

<sup>148</sup>*intra muros* (łac.) — w obrębie murów (miasta). [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*io t'amo* (wł.) — kocham cię. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*zatłony* — zapalony. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*wždy* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*funda* (z łac.) — podziemna część wieży dla najcięższych przestępców, w tym morderców; por. *fundament*. [przypis edytorski]

Wszystko to podziałało na Jura uspokajająco. Głowę podniósł i weselej spojrzął przed się.

— Cknić mi się tu będzie... — rzekł głosem o wiele już spokojniejszym.

Frącek w głowę się stuknął.

— Paniskowi bez roboty markotno. Narzędzia złotnicze trza tu sprowadzić. Ot co!

Młodzieńcowi oczy zaświeciły.

— Prawdęś rzekł, Frącku — odpowiedział. — Przy warsztacie czas by się mniej dłużył.

A i do łba mniej by czarnych myśli lazło.

— Uładzi się to, uładzi!

Zaraz nazajutrz młody złotnik, narzędziami swymi otoczony, kreślił model niewieściego naszyjnika, w którym splatały się misternie dwie gotyckie litery B. S.

Twarz miał prawie pogodną, a chwilami nawet — zapomniawszy się — poświstywał...

## VIII. PAJĘCZYNA DLA BĄKA

U Fary było pełno. Suma, celebrowana przez biskupa, ściągnęła cały kwiat mieszczaństwa i liczny poczet szlachty. W ławkach i stallach, na gankach dworskich i na niskich, wzdłuż ścian ustawionych stołkach zasiedli patrycjusze Starej Warszawy oraz dostojnicy państwowi. Błyszczało to wszystko papuzimi barwami odzieży, polyskiem jedwabiu, futer drogich i aksamitów, ogniem łańcuchów złotych — i zapinek kosztownych, kamieniami różnofarbnymi sadzonych.

Mieszczanom świeże *laudum*<sup>153</sup> przeciw zbytkowi nie pozwalało roztaczać bogactw tak widomie, jak to czyniła szlachta. Przewaga też blasku i malowniczości była po stronie ostatniej. Jednak zamożni kupcy nawet i w skromnym z pozoru odzieniu umieli potęgę pieniędzy uwydatnić. A nie zbywało im i na powadze zewnętrznej, na wyglądzie pięknym a dostojnym. Niemal wszyscy mieli włosy długie, trefione, a na twarzach bujny zarost, kształtem rozmaitym przystrzygany. Obok wąsów polskich spostrzegałeś brody szwedzkie, hiszpańskie i inne.

Większy jeszcze przepych widniał między niewiastami. Wśród młodych przeważała w odzieży barwa niebieska („obłoczna”, jak mawiano), a w klejnotach perły. Starsze występowały niemal wyłącznie w czerni, roziskrzanej tu i owdzie tęczowymi iskrami brylantów. Niektóre z dziewic miały włos rozpuszczony, a na nim wianek z kwiecia świeżego, co było pamiątką prastarych, słowiańskich jeszcze, czasów. Ubiór matron zbliżał się barwą i krojem do odzieży zakonnej.

W bocznych nawach i pomiędzy filarami (które mozaikowały gęsto kamienie nagrobne) tłoczył się naród podległy. Ale i ten nawet nie był, jak dziś bywa, tłumem pospolitym i „szarym”. Barwy: ceglasta, modra, żółta, a nawet krzykliwie czerwona, ożywiały go przyjemnymi dla oka plamami.

Więc też słońce, padwszy w tę zawieruchę barw i blasków, hulało bez pamięci, jak bachantka na uczcie Dionizowej. Gdzie tylko promień jego sięgnął, istnym wybuchem znaczył swe przejście. Cóż dopiero gdy sine dymy kadzidel przebiwszy, do *sanctuarium* dotarł, gdy oświecił ołtarz wielki, świeżo sumptem królewskim<sup>154</sup> od podstaw do szczytu wyzłocony, gdy złocenia te, ogniem swym objawwszy, w gorejący krzak Mojżesza bogatą całość zamienił!

Obraz to był nie na dzisiejsze oczy...

Wielkim, od lat dziesięciu, to jest od daty cudu, niesłabnącym urokiem czarował wszystkich Chrystus, przez szlachetnego Baryczkę z Norymbergi zwieziony. Korzono się przed nim, wdychano doń, wota mu kosztowne ślubowano. Urok innego rodzaju wywierał obraz włoskiego pędzla, świeżo w wielkim ołtarzu zawieszony. Malował go, na zlecenie króla, młodszy Palma, mistrz wenecki. Była na obrazie tym Najświętsza Panna, byli święci Jan Chrzyciel i Stanisław: trójca patronów miasta, kraju i chrześcijaństwa całego. Czyż serce na tyle świętości pozostałoby obojętnym!

<sup>153</sup>*laudum* (łac.) — rozporządzenie. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*sumptem królewskim* — na koszt króla. [przypis edytorski]

Organu Fara jeszcze nie miała<sup>155</sup>. Tymczasem rolę organu pełniła kapela „na cały świat chrześcijański najślynniejsza<sup>156</sup>”. Kościół miał swoją kapelę, dwór swoją: w dniu jednak uroczyste dworscy muzykowie i śpiewacy śpieszyli łączyć się z farskimi. Tak właśnie i w owym dniu było.

Uwaga pobożnych, pomiędzy malowidła, stroje, relikwie, śpiew i muzykę rozdzielona, ogniskowała się w jednym przedmiocie, który wszystkich w równym stopniu pochłaniać się zdawał. Kto by śledził z pilnością promienie spojrzeń tego tłumu różnolitego, poznałby, że zbiegały się one w prezbiterium, po prawej stronie wielkiego ołtarza, na ganku cudnie rzeźbionym, gdzie siedział jeden tylko w modlitwie pogrążony człowiek. Człowiek ów, panujący osobą swą nad gronem dostojników kościelnych, nad magnaterią strojną i buńczuczną, nad poważnym patrycjatem mieszczańskim i nad tłumnymi rzemieślniczymi korporacjami, siedział cicho i w takiej nieruchomości, że raczej posągiem się zdał niż żywą istotą.

W jego twarzy białej, lekko zarumienionej, o rudawych włosach i takimże zaroście, malował się wielki, nadludzki niemal, spokój. Nie był to wszakże spokój marmuru; prędzej można go było woskowym nazwać lub drewnianym. Rysy te miały wyraz zastygły i niezmienny, który świadczył o zastygłej również i niezmienniejącej się duszy. A składały się na ów wyraz pierwiastki różnorodne i sprzeczne: pokora i zaciętość, pobłażliwość i upór, znieczulenie moralne i wielki wysiłek umysłu ku jednemu skierowany celowi...

Ten człowiek-posąg, czy też ten człowiek-automat, miał lewą rękę opasaną różańcem, w prawej zaś trzymał książkę niedużą, z której się modlił, poruszając nieustannie bladymi, wąskimi wargami. Oczy jego były wielkie, ciemne i tak przejrzyste, jak przejrzystą bywa płytka i martwo stojąca woda. Spojrzenie ich przenosiło się z książki na kapłana, a z kapłana na książkę; zdawało się też, że poza tymi dwoma przedmiotami nic już zgoła dla tych oczu i dla człowieka tego nie istnieje.

Był to — król.

Nabożeństwo do połowy dobiegło. Ojciec Bembus<sup>157</sup>, jezuita, chorego Skargę zastępujący, zeszedł już z kazalnicy. Zbliżał się punkt nabożeństwa szczytowy: Podniesienie.

Już Bobola, podkomorzy królewski, zwyczajem swym, z ławki wyszedł i krzyżem legł na kamiennej posadzce. Wielu mieszczan za przykładem jego poszło, o ile im na to tłok panujący w świątyni pozwalał. Fala głów pochylała się naprzód i w tył, na kształt kłosów, na które wiatr powiał. Ucichł głos celebransa<sup>158</sup> i usługujących mu alumnów. Na powitanie chwili wielkiej wszystko skupiło się i zamilkło...

Ale wprzód jeszcze zabrzmieć miały na chórze pieśni, z pięknych najpiękniejsze.

Twarz Zygmunta straciła na chwilę swój wyraz drewniany. Odmalował się na niej lekki, radosny niepokój, jaki sprawia rozkosz nadchodząca. Twarz królewska wciąż była zwrócona ku ołtarzowi, ale ucho lewe pochyliło się widocznie, ruchem miłosnym niemal, w stronę chóru...

Tymczasem zaszła rzecz nieprzewidziana.

Zamiast pieśni wspaniałej, która świątynię całą wstrząsnąć miała, ozwało się kilka głosów niestrojnych, głuchych i jakby śmiałością własną przelektłych. Cytry i wiole połączyły się z nimi, ale po to tylko, by zamieszać powiększyć. Po kilkunastu taktach niefortunnych wszystko w miejscu stanęło.

Świątynię zaległa cisza kłopotliwa. Wszyscy na chór się obejrzeni, zafrasowani i kwaśni. Na obliczu królewskim osiadła chmura...

Ale w tejże chwili kapłan powrócił do ołtarza i zadzwiękły dzwonki alumnów. Król ze stolka zesunął się i na kolana upadł; kadzielnice mocniej zadymiły; po kościele przebiegło jęklliwe a potężne „aaaa!”; złota monstrancja uniosła się w górę i najdumniejszy czołem przed nią uderzyli.

<sup>155</sup> *Organu Fara (...) nie miała* — dar ten, również królewski, czekał ją dopiero za lat piętnaście. [przypis autorski]

<sup>156</sup> *kapela „na cały świat chrześcijański najślynniejsza”* — jak głosi *epitaphium* dyrektora jej, Włocha, dotąd w Katedrze zachowane; [*epitaphium* (łac.): utwór poświęcony pamięci osoby zmarłej; tu: napis nagrobny na tablicy w kościele; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>157</sup> *Bembus Mateusz* (ok. 1567–1645) — jezuita, następca Skargi w funkcji nadwornego kaznodziei Zygmunta III; autor pism religijnych. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *celebrans* (z łac.) — kapłan odprawiający mszę. [przypis edytorski]

Po skończonej ofierze Zygmunt wrócił na miejsce, z nierozwianą na obliczu chmurą. Na jedno z pacholąt dworskich, w głębi ganku stojących, skinął, a nadbiegłemu szepnął słowo jedno:

— Pacelli<sup>159</sup>...

Potem na nowo w modlitwie się zagłębił.

Pacholę bocznymi schodami zbiegło do kaplicy „ciemnej”, a stąd wskroś tłumy, rozstępującego się ze złości przed barwami królewskimi, do chóru dotarło i na chór weszło. W chwil kilka później wracało tą samą drogą, a za nim postępował dyrektor muzyków królewskich, Asprilio Pacelli. Włoch to był zażywny, z cudzoziemska ubrany, z wywiniętym u sukni kołosem, z bródką niewielką i takimiż wąsami.

Zatrzymał się on w przejściu do loży królewskiej wiodącym i postawę przybrałszy pokorną, czekał.

Nabożeństwo skończyło się; biskup, asystą otoczony, odszedł od ołtarza, a Zygmunt nie poruszał się z miejsca, oczy mając utkwione w książce i wąskimi wargami nieustannie poruszając. Siedzieli też i panowie w stallach, i mieszczanie w ławkach, nikt bowiem nie chciał monarchy w wyjściu z kościoła wyprzedzać.

Wreszcie z ust błądych wybiegło westchnienie, woskowa twarz pochyliła się automatycznie i dłoń koścista trzykrotnie, z całej mocy, uderzyła w piersi.

— Amen... amen... amen... — rozległo się wśród ciszy powszechnej.

Król powstał.

Zaraz też ruszyli z miejsc swych dworscy i miejscy dostojnicy i tłum w nawach bocznych zakolysał się, ku wyjściu zmiierzając. Świątynię napelniła wrzawa rozmów, stukanie podkutego obuwia, chrzęst złotogłowi i adamaszków.

Do króla poskoczyło pacholąt dworskich kilkoro. Jedno zabrało modlitewnik, drugie poduszkę aksamitną, trzecie worek jedwabny z różańcem, medalikami itp. Przy boku Zygmunta znaleźli się też wnet i komornicy<sup>160</sup>. Ten mu delię podsuwał, tamten beret podawał, ów rękawice naciągać pomagał. Wreszcie monarcha, z pacholętami na przedzie, a drużyną komorniczą za sobą, skierował się ku gankowi krytemu, który prezbiterium farskie z zamkowymi komnatami bezpośrednio łączył.

Czekający w przejściu Pacelli zgął się wpół przed królem.

Na widok Włocha chmura na obliczu Zygmunta wróciła.

— A... — rzekł, zatrzymując się, głosem, w którym razem i wymówka brzmiała, i gniew tłumiony. — Krzywdzicie mię, panowie — okradacie...

Pacelli zmilczał i tylko wzrok pytający podniósł na monarchę.

— Mniejsza wreszcie o mnie — ciągnął Zygmunt — ale ofierze świętej splendoru ujęliście... A jednak — dodał ciszej, choć z mocą — kosztujecie mię 12 000 talarów rocznie...

Dyrektor, choć wiedział, o co idzie, milczenia nie przerywał, tylko coraz niżej się gnąc, śmieiej w oczy królewskie spoglądał...

— Cóż się stało — wybuchnął wreszcie tamten — z duetem lutni i cytry, który miał sumę dzisiejszą uświetnić?... Co się stało z przegrywką fletu, która mię w smutkach moich rozwesela?... Co się stało z arią tenora, która jest na duszę moją balsamem?...

Włoch wyprostował się.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł. — Ani ja temu nie winien, ani kapela moja. Tenor i cytrzysta poturbowani przez napastników nocnych i do wieży wtrąceni. Flecista przepadł bez śladu — może zabity...

Wielkie oczy Zygmunta jeszcze większymi się stały. Po wargach lekkie drżenie przeszło.

— Co?... co?... co?... — pytał, z wysiłkiem gniew powstrzymując. — Mój Baldi w więzieniu?... mój Fabio za... za... zabity?... I to wszystko przy obecności naszej w stolicy!... Marszałek! gdzie jest marszałek?

<sup>159</sup>Pacelli Asprilio (1570–1623) — włoski muzyk i kompozytor barokowy; w 1603 przybył do Polski, by zostać kapelmistrzem króla Zygmunta III Wazy, który posiadał jedną z najlepszych w tym czasie kapel nadwornych w Europie; po śmierci król ufundował Pacellemu w katedrze św. Jana w Warszawie pamiątkową tablicę (*epitaphium*) z rzeźbionym wizerunkiem muzyka. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>komornicy — tu: pokojowcy; osoby dopuszczane do pokojów królewskich; *komora* (daw.): pomieszczenie w budynku, pokój, izba. [przypis edytorski]

Komorników kilku rzuciło się szukać Myszkowskiego. Ale już Zygmunt wybuch po-  
wściągnął i twarz jego stała się na powrót woskową. Na pacholęta skinął, aby gońców  
wstrzymali.

— Możesz odejść, *maestro* — rzekł, do Pacellego się zwracając. — Sprawa się rozpa-  
rzy. Niewinnych krzywdzić nie pozwolimy.

W tej chwili jednak właśnie pojawił się marszałek. Przybywał służbę swą pełnić. Służba  
ta polegała na przeprowadzeniu króla ze świątyni na pokoje pałacowe.

Ze stroju i z miny Włoch to był istny. Ale nie gachem karnawałowym zdawał się, jak  
wielu, co się wówczas na dworze kręcili, jeno raczej dostojnym patrycjuszem weneckim  
lub rzymskim. Suknie jego bogate były i okazałe. W rękę trzymał laskę — urzędu swego  
oznakę.

Przybywszy, skłonił się głęboko przed monarchą, obecnym zaś dał znak, by się w tył  
cofnęli. Komornicy, pacholęta, dworzani kilku i przywołany *direttore*<sup>161</sup> rozkaz ten po-  
śpiesznie spełnili. On wówczas zajął miejsce tuż przed królem i krokiem dostojnym,  
mierzonym, pochód rozpoczął.

Orszak w milczeniu głębokim szedł przez długie ganki i dłuższe jeszcze korytarze.  
Nikt poważnej ciszy ani szeptem nie przerwał. Pacholęta nawet żywość wrodzoną po-  
skromić musiały. Twarze ich półdziejące, z zaciśniętymi ustami i wzrokiem ku ziemi  
spuszczonym, przywodziły na myśl spętanych amorków<sup>162</sup>.

Król posuwał się jak automat — sztywny i chmurny.

W pałacu przygotowano dla króla posiłek południowy. W wielkiej komnacie o zło-  
conych belkach i sprzętach gdańskich, z ciemnego dębu rzezanych, zgromadziła się cała  
rodzina królewska. Przy wejściu orszak towarzyszący monarsze cofnął się i tylko marsza-  
łek, wciąż króla wyprzedzając, wszedł do środka.

Pacelli usunął się do poczekalni, w przypuszczeniu, że go król potrzebować będzie.

Król jednak w tej chwili zapomniał o wszystkim. Wysła naprzeciw niego żona z uśmie-  
chem słodkim na poblądłych po słabości niedawnej ustach. Do piersi ją przycisnęła, sztyw-  
ności jednak zwykłej nie stracił. Zaraz potem w atlasowej, koronkami złotymi nastrzępio-  
nej poduszce podsunęto mu kilkotygodniowe zaledwie dziecię, które trzymała Mejerin,  
niewiasta o surowej i przebiegłej twarzy. Dziecię to miało głośnie później imiona: Jana  
Alberta. Przyszły biskup warmiński i krakowski, którego śmierć przedwczesna w Padwie  
czekała, niczym w tej chwili przeczcucia losów przyszłych nie objawiał. Śmiał się i rą-  
czętami machał, więcej patrząc na brylantową spinkę rodzica niż na jego majestatyczne  
oblicze. Zygmunt pochylił się nad malcem, końcami ust lekko czoła jego dotknął i zaraz  
do dawnej wrócił sztywności.

A już z boku za rękaw go ciągnął zuch trzyletni, o wielkich ciemnych oczach, którego  
szpecilo tylko niemieckie ubranie, za poważne na jego lata i czyniące zeń prawie karzełka.  
Tego zucha król w górę uniósł, w pizaty policzek pocałował i po niemiecku do niego  
zagałał. Ulubieniec to był obojga rodziców.

Na ostatku dopiero ramię królewskie przyjęło pocałunek słusznego wyrostka, któ-  
ry w barwnym, bogatym stroju, z drobnym zarostem na pełnej, białej twarzy, wyglądał  
pięknie i dziarsko. Na korne powitanie najstarszego syna król odpowiedział oziębłe, wzro-  
kiem niechętnym mierząc jego ubiór i cicho poruszając wargami, z których jednak ani  
jedno słowo nie wyszło.

Zaraz też zasiedli wszyscy do stołu i wśród szczęku srebrnych naczyń zawiązała się  
rozmowa — niemiecka.

Nierychło doczekał się Pacelli słowa królewskiego.

Ku zachodowi się już miało, kiedy przyniósł mu je błękitno-różowy pazik, w mycse  
aksamitnej na długich, rozpuszczonych kędziorach.

— Jego Królewska Mość — rzekł młodzieńki poseł — dzisiejszego wieczora zabawiać  
się będzie muzyką. Rozkazuje też, aby stawili się do popisów sinior Giano i sinior Luca...

Włoch usta szeroko otworzył, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Chciał dziwić się oso-  
bliwemu rozkazowi i bliższych żądać objaśnień, ale żywe jak skra chłopię, nie czekając na  
odповідź, wybiegło pędem z komnaty.

<sup>161</sup>*direttore* (wł.) — tu: dyrygent. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*spętanych amorków* — dziś: spętane amorki. [przypis edytorski]

Stał więc przez chwilę jak odurzony i ust nie zamykał. Powrócił jednak z wolna do przytomności i uśmiechnął się nawet.

— Ha, dyrektorze, jakież ty głupi! — rzekł sam do siebie. — Alboż to nie wiesz, że wola króla jest święta? Zamiast tu stać jak kolek, ruszaj czym prędzej po Giana i Lukę. Czy gniją oni w lochu, czy smażą się na dnie piekła, co tobie do tego? Król kazał, żeby byli, i być muszą. A losom dziękuj, dudku, że Jego Królewskiej Mości nie zachciało się w dodatku Fabia. Może byś go wskrzeszać jak Łazarza musiał...

Nie przestając gadać do siebie, wysunął się z pałacu boczną bramą. Nie poszedł jednak ani do siebie, ani do muzyków swoich, jeno do winiarni.

Małmazji<sup>163</sup> kazał sobie podać, rodzynków i sera.

— Skoro cud ma się stać — mrucał — stanie się i beze mnie.

I pił a jadł, o nic się nie frasując.

Dopiero kiedy sługa ze światłem się ukazał, dyrektor za głowę się chwycił w rozpacz. Przyszła na niego chwila takiego strachu, że mu na czoło pot kroplisty wystąpił, a usta i policzki pobladyły.

Zerwał się, zapłacił i wybiegł z pośpiechem na ulicę. A na ulicy zmrok już szary panował i z wieży ratuszowej godzinę siódmą otrębywano.

— Mam już tylko niecałą godzinę przed sobą! — jęknął w zupełnym przygnębieniu.

Ale wróciła mu raptem wiara w przeznaczenie i w silniejszą od przeznaczenia wolę królewską. Ręką machnął i mruknął:

— *Che sarà, sarà*<sup>164</sup>.

I krokiem szybkim wskroś tłumu świątecznego, który wydrwiwał jego kuse ubranie, puścił się na ulicę świętego Marcina. Przy ulicy tej w zabudowaniach rozległego klasztoru znajdowało się główne schronisko muzyków. Zaraz też obok i groby ich były. Sąsiedztwo dla dzisiejszych ludzi niepokojące, dla ówczesnych zwykle i ani trochę niegroźne...

Przebiegł jeden, drugi i trzeci korytarz, wymijając co krok opasłych zakonników i rzucając im w przelocie łacińskie pozdrowienie. Zdyszany i potem okryty, znalazł się wreszcie w sieni do przybytku muz wiodącej.

Odzywało się tu zewsząd mruczenie basów, świągotanie pikulin, gruchanie fletów, jęczenie wioli — niesforny chaos różnorodnych, a niepowiązanych ze sobą dźwięków, które świadczyły, że kapela zabrała się do swych codziennych egzercycji<sup>165</sup>.

W chwili gdy zmęczony, choć zrezygnowany, zbliżał się do drzwi, na których fantazja czyjaś wymalowała gąsior szklany z naciągniętymi<sup>166</sup> nań, niby na mandolinę, strunami — wybuchła w zamkniętej izbie wrzawa głosów zmieszanych, śmiechów, wiwatów...

Pacelli stanął, uszom nie dowierzając.

Wśród wrzawy owej najwyraźniej słychać było śpiewny tenor Giana i piwniczny bas Luki...

Stanął i nadśluchiwał, upewniwszy się zaś, że to nie pomyłka, w czoło się stuknął znacząco.

— Powiedziałem! — wyrzekł na głos, mocno z siebie zadowolony<sup>167</sup>.

I zaraz też drzwi pchnąwszy, znalazł się wśród czeredy tak hałaśliwie i wyuzdanie wesołej, jak hałaśliwi i wyuzdani mogą być tylko Włosi i muzykowie<sup>168</sup>.

Smukły tenor i beczkowaty cytrzysta, obaj w poszarpanej na strzępy odzieży, stali na stole i tańczyli sarabandę. Dokoła tłoczyli się towarzysze wrzeszcząc, klaszcząc w dłonie i nogami tupiąc z wielkiej, rozsadzającej im piersi uciechy. Niektórych zapał unosił tak daleko, że stołkami o ceglana posadzkę ciskali. Szczęściem, stołki były dębowe i niedzielskiej roboty...

Na widok dyrektora wrzawa wzmogła się jeszcze.

Giano wprost ze stołu rzucił mu się na szyję. Luka, chcąc naśladować kolegę, upadł i smotnie się rozbił. Wyrostek jakiś, zamiast ratować tłuszciocha, siadł nań okrakiem,

<sup>163</sup> *małmazja* — słodkie wino greckie. [przypis edytorski]

<sup>164</sup> *che sarà, sarà* (wł.) — co będzie, to będzie. [przypis edytorski]

<sup>165</sup> *egzercycja* (z łac.) — ćwiczenia. [przypis edytorski]

<sup>166</sup> *naciągnięty* — dziś: naciągnięty. [przypis edytorski]

<sup>167</sup> *zadowolony* — dziś: zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *muzykowie* — dziś popr.: muzycy. [przypis edytorski]



naśladując Bachusa jadącego na beczce. Wrzawa przeszła w furię, śmiechy stały się rykami...

Ale w tej chwili Pacelli rzucił hasło: „do pałacu! do króla!” — i wszystko od razu ucichło. Wesoła, ale karna drużyna rozbiegła się w pośpiechu instrumenta<sup>169</sup> szykować i strój przywdziewać odświętny.

W kwadrans później w stronę pałacu ciągnął „gęsiego” długi sznur postaci w płaszczach czarne zawiniętych. Każdy płaszcz wydymał się nieforemnie na przedzie, osłaniając niesiony przez grajka instrument. Na końcu sznura wlokło się dwóch ludzi, dźwigając olbrzymie basy.

Już przy wejściu w bramę pałacową pierwszy w szeregu obrócił się do drugiego i zagadnął:

— A Fabio?

Zagadnięty pomyślał, głową pokiwał, wreszcie wykręcił się ku trzeciemu i powtórzył:

— A Fabio?

Trzeci nie wahał się ani chwili. Rezolutnie trącił w bok czwartego, pytając:

— A Fabio?

Czwarty to samo zrobił z piątym — i pytanie owo, cały orszak od głowy do ogona przeleciawszy, wróciło do pierwszego z pytających — nierozwiązane.

## IX. DWAJ „ARTYŚCI”

Dawno nie pamiętano w Wieży Okrągłej takiego gwałtu, jaki spadł na nią owej niedzieli przed wieczorem.

Myszkowski, ledwie napomnienie królewskie usłyszał, kazał wnet przywołać starostę. Na przywołanego wpadł z taką furią, że tamten języka w gębie zapomniał. Chciał zastawić się prawem, powoływać na zwyczaj — ale go wściekły marszałek razem z prawem i zwyczajami odesłał *ad diabolum*<sup>170</sup>.

A dodać trzeba, że w czasach owych, które jeszcze w diabła wierzyły, była to klątwa bardzo poważna i zdolna zatrwożyć zarówno tego, który kłął, jak i tego, którego kłęto.

Starosta wybiegł z pałacu jak oparzony i, mimo lat sędziwych i podagry w nogach, pomknął strzając do Wieży. Był to człek nabożny, ale opętanie i jego już dotknęło. Przez całą drogę kłął i żegnał się, żegnał się i kłął. Ludzie, potrąceni przezeń, stawali i dziwili się, a kumoszka jedna dobijając się nawet jęła do furty jezuickiego „Klasztoraka”, wołając:

— Ratujtaż, ojczaszkuwce dobrodzieje! Naszego starościunia nawiedziło!

On tymczasem dobiegł już do Wieży i, bez względu na znajdujące się w niej prochy, piorunami sywał zapamiętałe. Spadały zaś te pioruny z pogodnego zaprawdę nieba, pod tę porę bowiem — ile że wieczór cichy był a gorący i rozleniwienie dziwne chwytalo najdzielniejszych — cała populacja wieżowa oddawała się miłemu wczasowi. Burgrabia i dwaj jego pomocnicy ciągnęli miodek w małym wirydarzyku<sup>171</sup> od strony Wisły, dozorca zaś, ciężarowi dostojęstwa swego folgując, ciał sobie w karcięta z pacholami i gardło odwilżał. Nawet więźniowie uspokoiли się i ciche rozrzewnienie do serca im weszło. Szlachetni na górze śpiewali godzinki, wyciągając melodię jak nic z kądzieli; plebejusze *in fundo*<sup>172</sup> modlili się lub drzemali — o ile im szczury, żaby i inne plugastwa na to pozwalały.

Po słodkim śnie, jakże straszne przebudzenie!

Od klątw i lajań odwieczna strażnica w posadach zadrzała. Wszyscy krzyczeli, w piersi się bili, do oczów sobie przyskakiwali. Wyrazy: „najjaśniejszy”, „jego miłość”, „*iniuria*<sup>173</sup>”, „*immunitas*<sup>174</sup>”, „królewscy”, jak błyskawice latały w powietrzu.

Skończyło się zaś wszystko otwarciem srodze ciasnej i ciemnej ciupy, w której Włochów „na złość marszałkowi” więziono, i wyprowadzeniem zdziwionych i niemal przelekłych na słońce i na wolność.

Ale choć Wieża nie była rajem, a oni sami Adamem i Ewą, zawstydzili się przecie przy świetle dziennym nagości swojej i między ludzi wyjść się wzbraniali. Dopiero gdy

<sup>169</sup>*instrumenta* — dziś popr.: instrumenty. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*ad diabolum* (łac.) — do diabła. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*wirydarzyk* (z łac.) — ogródek wewnątrz murów budynku. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*in fundo* (łac.) — na dnie (wieży). [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*iniuria* (łac.) — dosł. bezprawie; krzywda. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*immunitas* (łac.) — nietykalność, przywilej. [przypis edytorski]

jednego okrył burgrabia własnym sarafanem<sup>175</sup>, a drugiego spowinał dozorca w faldzisty mentlik<sup>176</sup> swej żony, odważyli się nosy na ulicę wytknąć.

Urzędnicy wieżowi żegnali ich ukłonami głębokimi. Następnie, aż do samego klasztoru, przeprowadzała ich w tryumfie hałastra uliczna...

Wieczorem, na pokojach królewskich, Giano śpiewał cudownie, choć o wiele smętniej niż zwykle. Przebyte wzruszenie, lekki upływ krwi, głodu trochę i niewywcza<sup>177</sup> zaprawiały jego tremolanda<sup>178</sup> dziwną a porywającą melancholią. Król, który zwykł był słuchać koncertów z przymkniętymi do połowy oczyma, otwierał je na całą szerokość, ile razy Włoch arię nową rozpoczynał.

Nie uszło to bystrej uwagi Giana.

Skorzystawszy z chwili sposobnej, zbliżył się do Myszkowskiego i prosić jął o posłuchanie u króla. Król przedstawioną sobie prośbę na podziw łaskawie przyjął. Audiencja naznaczona została na dzień następny.

W oznaczonej godzinie wprowadzono artystę do prywatnych komnat monarchy. Można by nawet powiedzieć: do najprywatniejszych, gdzie z bogatego oprzędu wylaniał się cichy i skromny *dilettante*<sup>179</sup>.

Baldi zastał króla przy warsztacie złotnickim i w pierwszej chwili poznać go nie mógł pod tą obcą dla siebie postacią. Król, w mycce czarnej na głowie, w fartuchu ze skóry jeleniej, z zakasanyimi po łokcie rękawami, ze stopami wsuniętymi w miękkie wygodne ciżmy, nic a nic nie był podobny do króla w koronie i gronostajach.

Nawet twarz jego nabierała tu wyrazu, tracąc swe rażące podobieństwo do maski...

Włoch, wprowadzony przez pazia, pozdrowił monarchę głębokim ukłonem i zatrzymał się w progu. Czekając, aż doń przemówią, ciekawym spojrzeniem obiegał komnatę.

Na kominku, mimo dnia gorącego, ogień się palił, a przy ogniu smażyło się coś w małych, żelaznych tygielkach. Kilkoro chłopiąt kręciło się po izbie, to ogień mieszkciem rozdymając, to królowi znosząc narzędzia, to wreszcie oganką z piór pawich odpędzając muchy i chłodząc zgrzane czoło monarchy. Dwaj czy trzej kuli i piłowali. Ciszę przerywało tylko sapanie mieszka, skrzyp pilnika i młotków stuk miarowy.

Zygmunt siedział przy dużym stole, zarzuconym narzędziami, i na maleńkim, stalowym kowadelku również coś wykuwał. To coś, o kształtach niewykończonych jeszcze i niewyraźnych, było, jak się zdaje, częścią złotej monstrancji. Model tej ostatniej, na dużym kartonie wyrysowany, leżał przed oczyma monarchy.

Artysta jednym szybkim spojrzeniem wszystko to dojrzał. Dojrzał nawet i więcej. W bliskości kominka, poza kotarą jedwabną, do połowy odchyloną, oczy jego odkryły piecyki żelazne dziwnego kształtu, pękate słoje i retorty oraz mnóstwo naczyń osobliwych, które ze złotnictwem nic nie miały wspólnego...

„Aha — pomyślał — tu nie tylko *przerabiają* złoto: chcieliby je także *wyrabiać*...”

Myśl tę jednak ukrył na samym dnie duszy, nie pozwalając jej ujawnić się nawet w spojrzeniu.

Tymczasem Zygmunt, młotka nie wypuszczając, mówił życzliwie:

— I cóż nam przynosisz nowego, mości Giano?

Włoch się zbliżył i ucałował rękę monarchy.

— Przebaczeniam prosić przyszedł, *Serenissime*<sup>180</sup>. — z pokorą wyrzekł.

— Marszałkowska to sprawa, nie moja! — odpowiedział król. — Myszkowski winę ci darował?

— Darował, najjaśniejszy panie.

— Toś czysty.

Zamilkli obydwu. Król młotek odłożył i pilniczką około kawałka swego majstrować począł.

<sup>175</sup>*sarafan* (z ros.) — długa suknia z podwyższonym stanem, rozszerzająca się ku dołowi, najczęściej bez rękawów. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*mentlik* (z niem.) — tu: płaszczyk. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>*niewywcza* — brak wypoczynku. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*tremolando* (z wł.) — wibracja, drżenie głosu. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>*dilettante* (wł.) — artysta amator. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>*serenissime* (łac.) — najjaśniejszy (panie). [przypis edytorski]

— Ale, ale... — odezwał się nagle. — Spodziewam się, że to nie było nic nieoby-  
czajnego?

— Co za myśl, najjaśniejszy panie! — obruszył się tamten.

— Bo wiedz, że ja bym na sromotę żadną nie zezwolił. To nie Włochy, mój miły —  
nie Florencja...

Artysta oczy spuścił i głosem przyciszonym szepnął:

— Nie rozpusta mię wiodła, jeno miłość...

— A! — westchnął król, obciążkami sztabkę złotą wyginając.

— Tak jest, najjaśniejszy panie. Ja cudzoziemiec, przybłęda, rozmiłować się śmiałem  
w dzieweczce obcej mi narodowością, tradycjami — może nawet myślą i uczuciem...

— I miłość to tak wielka?

— Na śmierć i na życie! Miłość Dantego dla Beatryczy, Petrarki dla Laury, Tassa dla  
Eleonory!...

Król obciążki odłożył.

— Jeśli to szlachcianka — dodał — żal mi cię. Szlachta tutejsza dumna jest i niedo-  
stępna. Sztuka i artyści u niej w pogardzie. Ja sam — ciszej dodał — z talentami swymi  
ukrywać się muszę...

Obaj westchnęli.

— Szlachetna jest — podjął Giano — ale nie szlachcianka. Kupcówna to — z mieszc-  
zańskiego patrycjatu.

— To lepiej — zauważył król. — Choć dziś i mieszcankowie moi dąć się poczynają...  
Jakaż ona? — spytał po chwili, do roboty wracając.

— Świętym chrześcijańskim podobna z wejrzenia, a posągom klasycyzm z postawy.  
Czystość jej duszy da się porównać tylko ze śniegiem szczyty Alp pokrywającym; dobroć  
serca z wonią kwiatów mistycznych, które przed Franciszkiem z Asyżu zakwitały. Na lutni  
gra jak święta Cecylia, w tańcu nimfą zda się grecką, a gdy do rozmowy weźmie się  
poważnej, doża mógłby ją obok siebie i na tronie weneckim posadzić!...

— Nabożna? — przerwał król niecierpliwie.

— Przy modlitwem ją poznał, przy modlitwie widuję i z modlitwą na ustach rad  
bym do ołtarza poprowadzić...

— I któż ona wreszcie?

— Balcera Szeligi jedynaczka...

W tej chwili nachmurzył się król, bo mu pilnik szczerbę niepotrzebną na złocie zrobił.  
Dmuchawkę chwycił, przy lampce jął metal topić, nitować i zle, które się stało, naprawiać.  
Zabrało mu to dość czasu. Póki nie skończył, słowem się nie odezwał.

Wreszcie, obecność młodzieńca przypomniawszy sobie, zapytanie rzucił mu krótkie:

— Więc?...

Baldi przykląkł na jedno kolano i raz jeszcze rękę królewską ucałował.

— Więc — tonem zaczął błagalnym — do ciebie, najjaśniejszy panie, o pomoc i łaskę  
przychodzę. Obcy tu jestem, przesady ludzkie mam przeciw sobie, za przybłędę mnie  
uważają i szarlatana. Jeżeli mię ręka czyjaś silna nie wesprze, zginę. A któż na obcej ziemi  
ojcem mi będzie, jeżeli nie ty, najdosłojniejszy monarcho? Któż — dodał szeptem prawie,  
jakby śmiałością słów własnych przerażony — któż lepiej duszę artysty zrozumie i odczuje,  
jeśli nie... artysta.

Zuchwałstwo to było niewątpliwe — ale zuchwalcom los sprzyja.

Uśmiech nieznaczny przemknął po bladych wargach króla.

— Przebóg! — z żartobliwym wykrzyknął oburzeniem. — Czyżbyś uroił sobie, grajku  
mizerny, że król twym swatem ma zostać?...

— *Serenissime!* — szeptał Włoch, z kolan nie powstając. — Wystarczy słowo jedno  
osoby wpływowej... Gdyby jego miłość margrabia Myszkowski albo jejmościanka panna  
Mejerin...

— Mejerin! — zawołał król z radością. — Mądrześ rzekł. Mejerin to zrobi. Ona  
wszystko zrobić może. Jak na toż z mieszczanami się pokumała; w Rynku kamieniec  
kupuje. Tak, tak, Mejerin rękę ci poda. Dziś jeszcze z nią o tym pomówię...

Włoch w nadmiarze radości chciał stopy królewskie całować, ale król podniósł go i po  
ramieniu życzliwie poklepał.

— No, no, nie przejmuj się tym zanadto. Głos stracić możesz, a któż mi ciebie zastąpi? Ja wiem, że artyści głębiej wszystko odczuwają — wiem!

Spojrzenie dodawało jeszcze: „z doświadczenia własnego”...

Ponieważ w tej chwili jeden z pomocników wydobył z ognia sztabkę złota i niósł ją ku stołowi w obczązkach, król rzucił się z pośpiechem do kowadełka, o Włochu i świetle całym zapominając.

Giano powstał chwilę w miejscu, następnie wygłosiwszy pożegnanie, na które mu nie odpowiedziano, wysunął się bez szelestu z komnaty.

Przez dwa dziedzińce, oddzielające go od ulicy, biegł jak szalony, przyśpiewując głośno, roztrącając służbę dworską, drabantów i giermków, nie ustępując nawet rycerstwu i senatorom. Karliczki królewskiej, która w smudze cienia pod ścianą przechadzki używała, omal nie rozdeptała...

Chciał biec prosto do Balcerów, ale rozmyślił się i kroki ku bursie<sup>181</sup> muzycznej<sup>182</sup> skierował.

Szybko przebiegł korytarze klasztorne, unikając zetknięcia z kolegami, i celi swojej dopadłszy, na klucz w niej się zamknął.

Potrzebował nasycić się swym szczęściem, w położeniu nowym rozpatrzyć się i plan przyszłego postępowania przygotować. Na łożo się rzucił, ręce nad głowę zaplótł i ze wzrokiem w powalę utkwionym, leżał długo, bez ruchu, w myślach zatopiony.

Po pewnym czasie zerwał się na nogi, w przeciwny koniec izby pobiegł i wyciągnął z kąta sporą, misternym okuciem zdobną, szkatułkę.

Drżąca jego ręka długo w napełniających ją rupieciami szperała. Ruchem prędkim i niecierpliwym dobył wreszcie niewielką, wąską książeczkę w „weneckiej”, białej ze złotem, oprawie. Na grzbiecie książeczki błyszczał napis: *Francesco Petrarca — Canzoniere*<sup>183</sup>.

Razem z książeczką wypadła na posadzkę mała, kwadratowa deszczulka. Giano w pierwszej chwili nie spostrzegł jej i, szkatułkę zamknąwszy, na poprzednie miejsce odniósł. Dopiero, idąc do okna z Petrarą w ręku, stopą przedmiot wyrzucony potrącił i z ziemi podjął.

Deszczulka była oliwna; na deszczulce znajdowało się malowidło. Przedstawiało ono młodą, w stroju weneckim niewiastę, z czarnymi oczyma i włosom rudawym. Gdyby nie ostry wyraz twarzy, w zmarszczeniu czoła i ustach zaciętych widniejący, niewiasta byłaby piękna. Z wyrazem owym była tylko wspaniała.

Baldi ledwie na wizerunek oczy zwrócił, pobił śmiertelnie. A jakby ten niewinny kawałek drzewa palce mu parzył, odrzucił go daleko od siebie.

Nie dość na tym. W nagłym wybuchu wściekłości malowidło raz jeszcze do ręki chwycił, paznokciami podrapał i, połamawszy na szczęty<sup>184</sup>, za okno cisnął.

Zrobiwszy to, biegać jął po izbie krokami wielkimi, dysząc głucho z tłumionego gniewu.

W tej chwili zakołatano do drzwi.

Giano zaklął i nie spieszył się z otwarciem.

Zakołatano powtórnie.

Młodzieniec naszożył się i zasuwę odsunąwszy, szarpnął drzwiami gwałtownie, gotów przyjąć natręta słowem obelżywym...

W progu ukazał się — Fabio.

## X. LOS NIEOBECNYCH

Dnia jednego — we dwie niedziele może po wyjściu Włochów na wolność — Dobra zastała Basię płaczącą...

Dziewczyna siedziała w swej komnatce drugopiętrowej przy otwartym, na Wisłę wychodzącym oknie i zasłoniła duże oczy paluszkami różowymi, przez które lzy ciekły. Tuż obok, na stoliczku rzeźbionym, leżała książeczka nieduża w białej ze złotem oprawie.

<sup>181</sup>*bursa* (z łac. *bursa*: sakiewka) — internat; budynek mieszkalny dla studentów i profesorów. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*muzycki* — tu: przeznaczony dla muzyków. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*canzoniere* (wł.) — pieśni. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*na szczęty* — na szczątki, na kawałki. [przypis edytorski]

Dobruchna srodze się przelękla.

— Gołąbko moja, co tobie?! — zakrzyknęła, do przyjaciółki biegnąc i dłonie od lica jej odrywając.

Basia ani próbowała się bronić. Wilgotne źrenice na przybyłą zwróciła i milczała. Ale falowanie jej piersi, pod złotonitną siatką widoczną, mówiło o silnym wzruszeniu.

— Co tobie, najmilsza? — pytała tamta, okrywając pocałunkami czoło jej i oczy. — Przelęklas się czego? Chora jesteś? Może ci surowe posty cioci Ofki zaszkodziły?

Śliczne dziewczę główką potrząsało<sup>185</sup> przecząco.

— Za tatusiem ci markotno?...

Główka wciąż się chwiała.

— Chciałabyś za mury, słowika posłuchać, w rzeczułce się poplaskać, na sianokosach z kmieciównami<sup>186</sup> o przepiórcę zaśpiewać?

Znaki przeczące nie ustawały.

— A może... — zaczęła Dobra i urwała.

W tej chwili jednak Basia zwróciła na nią spojrzenie, które do pytań dalszych zdawało się zachęcać.

— A może — powtórzyła, do uszka małego pochylając się — może... za ukochanym tęsknica cię wzięła?

Oczy Basi zabłyśły; śliczne liczko rumieńcem się pokryło. Milczała, ale już ruchy jej główki nie przeczyły.

— Za... Jurasiem? — szepnęła powiernica.

Na ustach dziewczęcia na krótką chwilę uśmiech zjawił się słaby.

— Za... Włochem — powtórzyła Dobra.

Ten sam uśmiech powtórzył się powtórnie i zaraz zniknął. Zniknął z ust — pojawił się w oczach. Był zaś rzewny, melancholijny, prawie bólu bliski.

Jednocześnie z tym uśmiechem Basia prawą ręką chwyciła dłoń przyjaciółki, a lewą biorąc książeczkę, tchem jednym czytać z niej jęła:

*I'vidi Amor che begli occhi volgea  
Soave si, ch'ogni altra vista oscura  
Da indi in qua m'incomincio apparere.*

— Ależ, Basiczko... — przerwała tamta, w zdziwieniu wielkim oczy otwierając szeroko.

Dziewczyna jednak zdawała się nie słyszeć i znów, kart kilka przewróciwszy, czytała:

*Amor ed io si pien di maraviglia,  
Come chi mai cosa incredibil vide,  
Miriam costei, quand' ella parla o ride  
Che sol se stessa e null' altra somiglia.*

*Dal bel seren delle tranquille ciglia...*

— Ależ, Basiczko! — powtórzyła Dobra mocniej, rękę swą od uścisku uwalniając. — Czyż nie wiesz, że ja prostaczka? Na włoszczyźnie tyleż się znam, co na hebrajskim języku!...

— Ach, żałuj! żałuj! — wykrzyknęła Basia, książeczkę zamykając. — Włoski język to nie mowa, to śpiew! Posłuchaj tylko, jak brzmi to jedno słowo: *amor!*... *aaa-moor!*<sup>187</sup>

— Toć chyba nie lepiej niż nasze „kochanie”...

— A! Wiesz zatem, co słowo to znaczy?

— Z łacinym doszła. W modlitewniku moim często się *Amor Dei*<sup>188</sup> powtarza.

— I łacina piękna. Zda mi się zawsze, że do Pana Boga mówić można tylko po łacinie; po włosku zaś tylko do... do...

<sup>185</sup> *potrząsało* — dziś: *potrząsnęło*. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *kmieciówna* — chłopska córka; *kmieć*: chłop. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *amor* (wł.) — miłość. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *Amor Dei* (łac.) — miłość Boga; miłość do Boga. [przypis edytorski]

— Do Giana!

Dziewczyna zapłonila się ponownie, usta jej skrzywiły się jakimś grymasem niechętnym.

— Ech! — odparła niecierpliwie — nie to miałam na myśli... Rzec chciałam po prostu, że do pieśni nabożnych najlepsza łacina, a do pieśni... świeckich język włoski. Cudne tworzył rymy Kochanowski — a przecież pieśń jego nie głaska mię po sercu tak mile jak sonet lub canzona Petraraki...

— Ja ci zaraz rzekę<sup>189</sup> dlaczego.

— Mów.

— Tamte pieśni czytałaś, gdyś dzieckiem była; te czytasz, gdy już duża z ciebie pannica. Niechby jednak i dziś jeszcze Kochanowskiego zaśpiewał ci Juraś, na lutni pobrzękując i słodko w oczy patrząc, wnet byś pewnie słodkość ich poczuła...

— Ty mi zawsze o tym Zawisłaku!

— Wolalabyś o Baldim?

— I na Baldim świat się nie kończy!

— Innych nie znasz...

Basia do połowy oczy zamknęła i długie, rozmarzone spojrzenie w błękitnie letniego nieba utopiła.

— Ten, którego ja znam — mówić, jakby do siebie, jęła — z barw jest samych i blasku... Tak barwny jak zorza poranna, a jak słońce wschodzące tak świetny!... Objawił mi się niedawno — w pieśniach Petraraki mi się objawił... Odtąd nie mam już spokoju i tęsknoty na mnie przychodzą, jakich wprzód nie znałam... Nieszczęśliwa jestem, a do szczęścia dawnego wrócić bym nie chciała... Dziś zaszłaś mię płaczącą — ja często teraz płaczę... Nieraz po nocach łzy wylewam, a rzec bym na pewno nie umiała, czego w nich więcej: bólu czy rozkoszy?... I zawsze, gdy taka żałość słodka na mnie przychodzi, wyobrażam sobie, że lada chwila *on* przy boku mym stanie, słowami pieszczonymi zagada i tęsknoty wszystkie rozproszy...

Westchnęła, zamyśliła się, w marzeniach swych zatoneła...

— I cóż ty na to, Dobruniu? — spytała wreszcie, do obecności wracając.

Dobra przez cały ten czas wpatrywała się w przyjaciółkę z natężoną i niepokojem zaostrzoną uwagą. Na zapytanie nic nie odrzekła, tylko głową pokiwała znacząco.

Basia ruch ten podchwyciła. Na pobladłym jej licu odmalowała się trwoga.

— Dobruniu! Siostrzo! — zawołała, za obie ręce towarzyszkę chwytając. — Przerażasz mię, przyjaciółko moja! Starsza jesteś i życia lepiej świadoma; powiedz: może myśli moje grzeszne są? Może nie od Boga idą...

Dobra pomyślała chwilę nad odpowiedzią.

— Nie wiem — rzekła poważnie. — To wszakże pewna, że nie z nabożnej wzięłaś je książki...

Tamta zasępiła się bardziej jeszcze.

— Dobruniu, ja się boję!... — szepnęła, do przyjaciółki się tuląc. — Przy każdej modlitwie wątpliwość mię napada: jestemże<sup>190</sup> tą samą, co dawniej? Bywam niekiedy jakby nieprzytomna... słów modlitwy zapominam... Czyżby mię łaska Boża odstępowała?

Drżąc poczęła całym ciałem i głowę na pierś przyjaciółki skłoniła.

— Może to czary? Może urok na mnie kto rzucił? — wyjąkała nagle głosem zmienionym.

Dobra ucałowała ją czule i do serca przycisnęła.

— Czary to są niezawodnie — z naciskiem rzekła. — Ale na nie nikt nie poradzi.

— Może astrolog?

— I to nie...

— Jak to? Nikt na świecie całym?

— Tegom nie rzekła. Poradzi człowiek, który czary sprowadził. Człowieka tego znam...

— I któż nim jest, Dobruniu?

— Ten, kto ci książkę ową podarował...

Ciche, do gołębich podobne łkanie, było jedyną na te słowa odpowiedzią.

<sup>189</sup>rzekę (daw.) — powiem; do: rzec: powiedzieć. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>jestemże — konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy jestem. [przypis edytorski]

Sercowa sprawa Giana rozwijała się coraz pomyślniej.

Odkąd Mejerin (sama, we własnej osobie, Mejerin) zeszła z wyżyn dworskich na padół Rynku staromiejskiego i jako siostra bratowa (z bractwa różańcowego) odwiedziła ciotkę Ofkę w jej własnym mieszkaniu, zaszła widoczna odmiana w stosunku całej rodziny Szeligów do młodego Włocha.

Stosunek ten, rzec by można: rozgrzał się...

Śpiewak królewski, zamiast zimnej atencji, spotykał się teraz z ciepłą serdecznością. Traktować go poczęto nieco poufalej, ale za to o wiele życzliwiej. Już nie gościem był i nie cudzoziemcem, ale za swojaka go uważano i prawie za domownika.

Stryj Jan, dotąd dość Włochowi niechętny, nabrał nagle upodobania do długich z nim dysput. Giano władał biegle łaciną, a i w polskiej mowie duże czynił postępy. Widział i umiał wiele, przedmiotu więc do rozmowy nie brakło. Stary ławnik najchętniej kierował ją na sprawy publiczne: na urządzenie republiki weneckiej, na stosunek do Rady Dziesięciu itp. Młodzieniec na wszystko umiał dać trafną i wyczerpującą odpowiedź.

Stryjek Basi bródkę siwą głąskał, pod wąsami się uśmiechał, a potem na osobności mówił do siostry:

— Ho, ho! Baśka szczęście ma... Chłopak setny: do tańca i do różańca... Nie znaleźć takiego między mieszczankami!...

A pocierając w zamyśleniu wygolone czoło, dodawał smętnie:

— Gdybyż nie Włoch!...

Ofka wówczas śpieszyła z obroną.

— To i cóż! Katolik jest — i dobry katolik. W Rzymie był, do Loretu pielgrzymował, z Ojcem świętym gadał, jak ja tu oto z tobą. Włosiennicy zażywa — i biczowania.

Brat milczał, nie przecząc, ale i nie przytwierdzając.

Zarzut to był w stronę Jura skierowany.

Stary Szeliga poruszył się niecierpliwie.

— Pani siostra — z przekąsem rzekł — zawsze Zawiślakowi przeciwna!

— Bo nie lubię, panie bracie, młodzianków bezbożnych i gwałtowników! — z naciśnięciem dodała.

Ławnik nosem czmychnął z wyraźnym zniecierpliwieniem.

— Powoli... powoli... — rzekł przeciągle. — Nigdy z sądem potępiającym zbyt kwapić się nie trzeba. Co do bezbożności Zawiślaka, plotka to może być ludzka, nic więcej. A że się raz jeden krewkością uniósł, to i cóż? Młody jest. Wreszcie, gdyby naszej Baśki nie kochał, nie przysłoby do tego.

— Piękne mi kochanie — odcięła stara panna — co do wieży prowadzi, między podpalaczy i opryszków! Już to gdy kto w religii nie twardy, to i w honorze wart mało!...

Szeliga poznał, że niewiasty nie przeprze<sup>191</sup>. Zamilkł więc i tylko laską okutą po podsadzce jął stukać.

— A czy pan brat wie o wielkiej nowinie? — rzekła tamta w rozpromienieniu nagłym. — Panna Urszula mi ją w tajemnicy głębokiej zwierzyła. Nowina ta warta, by za nią oddać wszystkich Zawiślaków, z nabożeństwem ich i statecznością!

— Cóż takiego? — spytał podrażniony nieco ławnik.

A siostra mu wówczas do ucha samego:

— Oto król nasz najmiłościwszy dla ulubieńca swego chowa w zanadru — indygenat<sup>192</sup>...

Stary mieszczanin na stolku podskoczył.

— Mejerin to mówiła? — wykrzyknął z twarzą rozplomienioną. — Do pani siostry mówiła?

— Mówiła — i jeszcze dodała: *sub conditione*<sup>193</sup> związku małżeńskiego...

Szeliga wytrzymać nie mógł. Porwał się ze stolka i do siostry przypadłszy, pomarszczoną jej rękę pocałunkami okrył.

<sup>191</sup> *przeprzeć* — zwyciężyć w silowaniu się. [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *indigenat* (z łac.) — nadanie obcokrajowcowi praw i przywilejów szlachcica polskiego. [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *sub conditione* (łac.) — pod warunkiem. [przypis edytorski]

— A! — mówił jak w odurzeniu — splendor! Splendor niesłychany!... Ta Baśka to do szczęścia stworzona!... Co powie Balcer, jak powróci!... I to Mejerin mówiła!... Dobry ten król! Niech łaska Boża zawsze z nim będzie!... A tego Giana jak żebym chciał uściskać!... Klejnot! Klejnot szlachecki<sup>194</sup>... No, szczęśliwa Baśka! Dalibóg, szczęśliwa!...

Gdy się brat Jan uspokoił, siostra Ofka usiąść mu przy sobie kazała i oboje o przyszłym związku bratanki poważnie jęli rozmawiać.

Rzecz to już była postanowiona. Wysłannica królewska grunt przygotowała, a Baldi zjednął sobie ciotkę i wkraść się w łaski stryja. Wczoraj właśnie deklarację swą złożył — tymczasem *privatim*<sup>195</sup> z uwagi na nieobecność rodzica, potem ją wszakże powtórzyć miał formalnie z dziewosłębami<sup>196</sup> i oracją właściwą.

Z chwilą gdy stryj ostatnich skrupułów się pozbył, sprawę można było uważać za skończoną. Pozostawała już tylko drobnostka: zgoda rodzica, no — i przyzwolenie panny.

Powrotu Balcera spodziewano się za miesiąc. Ostatnia wiadomość od niego nadeszła z Wenecji, dokąd na własnym okręcie zapłynął. Rodzeństwo postanowiło wyprawić doń pismo, które w porcie marsylskim znaleźć go miało. List natchniony przez Ofkę, a skomponowany przez Jana, miał przedstawić mu małżeństwo jedynaczki jako wielkie szczęście na dom ich spływające. Sam zresztą argument: „Król tak chce”, nie pozwalał wątpić o pomyślnym skutku poselstwa.

O Basię najmniej się kłopotano. Nie były to czasy, w których by młoda dziewczyna mogła być wolę swą przeciwstawiać woli starszych. O miłości i sercu śpiewywano wprawdzie po dworach przy lutni, a u ognia obozowego przy bandurce, nikomu jednak na myśl nie przychodziło utożsamiać życia z piosenką.

Miłość poczynała się dla niewiasty dopiero po odejściu od ołtarza, nigdy wcześniej; o sercu zaś miano pojęcie zgoła do dzisiejszego niepodobne. Człowiekiem „wielkiego serca” był wówczas taki, kto tęgo bił innych, a sam pobić się nie dawał. Mawiano też o „mężnym sercu” niewiast, które bez lży jednej śmierci mężów swych lub synów dojrzalych przeniosły, oraz sławiono „wspaniałe serce” magnatów, co fortunę całą kościołowi i nędzarzom oddali.

Stryjek Jan i ciotka Ofka, w najsolenniejszy wyraz twarzy ubrawszy, kazali bratankę do siebie przywołać. Przywołanej „oznajmili”, że rękę swą oddać ma szlachetnemu Gianowi Baldi, dworzaninowi królewskiemu i artyście.

Nagły błysk rozwartych szeroko oczów, purpura gwałtownego rumieńca, a potem zaraz wzrok wbity w ziemię i marmurowa całej twarzy błądź były na oznajmienie to odpowiedzią.

Basia odruchowo chwyciła się za serce i odruchowo również wypowiedziała myśl, na dnie duszy drzemiącą:

— A Juraś?...

Ten jednak wykrzyknik zbyto milczeniem.

— Szlachetny Giano Baldi... — powtórzył uroczyście ławnik.

— Dworzanin Jego Królewskiej Mości i artysta o rozgłośnym imieniu... — dodała wyniośle ciotka.

— Zaszczyt niemały — ciągnął stryj — domowi naszemu wyświadcza, bowiem...

Przerwała mu Basia. Dziewczyna, przypominając sobie czy instynktem zgadując, co teraz „z roli” wypada, opiekunom swym do kolan się skłoniła — z płaczu nagłego wybuchem.

— Panie stryju! — wyjąkała — i ty, pani ciotko! Pozwólcieź mi przynajmniej ze słowem ostatnim na przyjazd rodzica zaczekać...

Podnieśli ją i ucałowali.

— Nikt niewolić cię nie będzie — rzekł stryj. — Skoroś jednak dziewczka już duża, a do stanu zakonnego inklinacji<sup>197</sup> nie masz, więc zapewne przeciwieć się szczęściu własnemu nie będziesz. Ufność tę gruntujemy na rozsądku twoim — ile że wedle statutu dziewczkom

<sup>194</sup>*klejnot szlachecki* — herb. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>*privatim* (łac.) — prywatnie, nieoficjalnie. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>*dziewosłęb* — swat; pośrednik przy kojarzeniu pary małżeńskiej. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>*inklinacja* — skłonność. [przypis edytorski]



już od trzynastej wiosny życia liczą się lata dyskrecjonalne<sup>198</sup>. A *Speculum Saxonum*<sup>199</sup> córce mieszczańskiej wcześniej przyznawa pełnoletność niż szlachciance...

Basia patrzyła na stryja, niewiele rozumiejąc.

— Baldi — odezwała się ciotka, solenność<sup>200</sup> o jeden stopień zniżając — młodzian jest na podziw gładki i rezolutny. Basieczka nasza nie sprzyjać by mu nie mogła...

Ujęła bratanek pod brodę i w oczy jej spojrziała.

— Starej ciotce — szepnęła — prawdę wyznać możesz. Miły ci ów Włoszek, nie-prawda?...

Basia milczała.

— Toć nie zaprziesz chyba, że każde przybycie jego radość ci sprawia, a każdą nieobecność dłuższą oplakujesz?...

W oczach dziewczyny odmalowało się zdziwienie — milczenia jednak nie przerywała.

— *Summa summarum*<sup>201</sup> — rzekł stryj, niecierpliwie nogami szurając — gotowaś Baldiego za małżonka przyjąć?

I wzrok zimny, wzrok członka magistratury i karciciela nadużyć publicznych, na siostrenicę obrócił.

Basia wówczas ręce zaplotła, oczy spuściła, na anielskie lica wyraz bierności i rezygnacji przywołała...

— Jeśli taka będzie pana ojca wola... — ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła.

Rodzeństwo porozumiało się oczami. Oczy te mówiły: „sprawa skończona”.

Zaraz też Basi odejść dozwolono — po czym stryj Jan zajął się przygotowaniem i wysyłką ważnego pisma familijnego do brata Balcera.

W kilka wieczorów później Giano aksamitnym swym głosem odczytywał Basi sonety Petrarcki.

Komnata pełna była zapachu czeremchy, której okwiecony wierzchołek z ogródka Szeligów do otwartego okna sięgał. Z ciepłym tchnieniem wiosennego wieczora nadpływała od Wisły tęskna pieśń flisów — taka sama, a może nawet i ta sama, jaką się dzisiaj słyszy.

Dobruchna, przydana do towarzystwa narzeczoną, wyszła na chwilę, sprawami gospodarskimi wywołana. Prócz dwojga młodych nikogo w komnacie nie było.

Basia, przesuając w milczeniu palcami prawej ręki bogate manele, obciążające jej rękę lewą, odezwała się nagle głosem przyciszonym:

— Czy waszmość, panie Giano, tak samo miłować mię<sup>202</sup> będziesz, jak ów poeta swą Laurę?

Włoch obrzucił ją spojrzeniem płomienistym.

— Stokroć więcej, *carissima mia*<sup>203</sup>! — namiętnie wykrzyknął.

— O! Więcej! — sprzeciwiła się dziewczyna. — Alboż to więcej miłować można?...

— Można, *idol mio*<sup>204</sup>! I nie tylko można, ale trzeba. Petrarcka nie dotknął nigdy ukochanej ni ręką, ni ustami — a my...

I wyciągnął ramię, aby otoczyć nim gibką kibić dziewczęcia.

Basia jednak uskoczyła na bok, z brwiami ściągniętymi, falującą pierśią i zapłonionym jak róża licem<sup>205</sup>.

— Mości Baldi! — wykrzyknęła. — Zapominasz, żeś mężem moim nie jest...

Zaczerpnęła powietrza — i dorzuciła ciszej, jakby do siebie:

— I że może nim nigdy nie będziesz...

<sup>198</sup>lata dyskrecjonalne — pełnoletność (do małżeństwa). [przypis edytorski]

<sup>199</sup>*Speculum Saxonum* (łac.) — Zwierciadło Sasów (a. saskie); średniowieczny spis prawa zwyczajowego Saksonii, obejmujący przepisy prawa ziemskiego, karnego, procesowego i prywatnego, elementy prawa kanonicznego i prawa lennego; stało się podstawą prawa miejskiego na Węgrzech, w Czechach i Polsce; w 1506 r. wydrukowane w tłumaczeniu na polski w *Statucie Łaskiego*, w 1535 r. decyzją króla Zygmunta Starego stało się prawem obowiązującym w sądach miejskich i wiejskich. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>solenność — dokładność, staranność; tu: uroczysty a. urzędowy sposób wyrażania myśli. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>*summa summarum* (łac.) — podsumowując wszystko; wziąwszy wszystko pod uwagę. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>mię — dziś: mnie. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*carissima mia* (wł.) — najdroższa moja. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>*idol mio* (wł.) — bóstwo moje. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*lico* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

Włoch pokrył zmieszanie uśmiechem miodowym. Wpół się zgiął, w kornym ukłonie rękę na sercu położył i oczyma prosił o przebaczenie.

W tej chwili zjawiała się z powrotem Dobruchna. W twarzy jej znać było troskę. Z miną strapioną podeszła do przyjaciółki i rzekła:

— Smutną wieść ci niosę, Basieczko. Juraś Zawiślak na pół roku wieży osądzony!

Basia zakryła twarz rękoma i stała tak chwil parę bez ruchu. Potem przyjaciółkę za szyję chwyciła i główkę do piersi jej przycisnęła z jękiem stłumionym.

Giano mruknął *addio*<sup>206</sup> i za próg się cofnął — z brzydkim na ustach uśmiechem...

## XI. DZIEŁA NOCY

Noc była czarna jak smoła — bez gwiazd i bez księżyca. W przesmyku wiodącym do Białej Wieży — gdzie z jednej strony sterczał bok kamienicy Szeligów i ciągnął się parkan ich ogrodu, a z drugiej widać było (nie w tej chwili wszakże) szczątki muru oraz budynków kilka bezkształtnych — stał człowiek, zdający się z tą ponurą nocą, niebem czarnym i czarniejszą odeń ziemią jedną tworzyć całość.

Człowiek ten stał tu od godziny, może od dwóch i wpatrywał się z natężeniem w jeden punkt, który zresztą, jako atom ogólnej wszechciemności, nie był ani jaśniejszy, ani bardziej czarny od innych.

Kto widział kiedykolwiek myśliwego zaczajonego przy jamie lisiej, temu by niewątpliwie widok tego człowieka na myśl go przywiódł...

W punkcie, który do siebie uwagę czatownika przykuł, a który nawet za dnia w mroku się ukrywał, można było, przy pełnym świetle słonecznym, dojrzeć dwie rzeczy: krzak i cegiel kupę. Krzak był bezlistny, o suchych, rozczapierzonych gałęziach, którymi cegły owe zasłaniał. Cegły stanowiły zrąb muru odwiecznego, który uprzątnać zapomniano albo leniono się — bo wówczas śmiecie i gruz cieszyły się nierzadko przywilejem nietykalności.

Było już dobrze po północy. Ciemność rzednieć poczyniała. Człowiek stał w miejscu, jak czata obozowa, niecierpliwości swej klątwami jedynie folgując.

W stronie lisiej jamy nic się nie pokazało — myśliwy przecie ze stanowiska nie schodził. Jasne dlań było, jak dwa a dwa cztery, że lis, który do nory wszedł i wyjść też z niej musi...

Nagle czatownik ów niezmordowany rzucił się skokiem tygrysim w stronę krzaka i cegieł. Rozległ się krzyk jeden — głuchy, krótki, urywany. Zaraz potem słyszeć się dało szamotanie gwałtowne i na ziemię upadło coś ciężkiego, dźwięk metaliczny wydając.

Lis wyszedł z nory — myśliwy żywcem go chwycił...

Przy odrobinie światła, które szło od rodzącej się na dalekim wschodzie zorzy, można było dojrzeć teraz dwóch ludzi mocujących się ze sobą. Obaj byli w płaszczach długich, fałdzistych, które przy mocowaniu rozwiewały się jak żagle. W pierwszej chwili nie można było zrozumieć ani jednego ze słów prędkich, zadyszanych, jakie sobie podczas walki rzucali — wreszcie jeden zawołał wyraźniej, choć głos rozmyślnie hamując:

— Ha, trzymam na koniec i ciebie, i tajemnicę twoją!...

Słowa te wypowiedziane były po włosku i wybiegły z ust myśliwego.

Lis w tejże chwili tonem najwyższego zdziwienia odkrzyknął:

— Giano!

I w miejscu stanął jak wryty.

Tamten z chwili tej skorzystał. Szybkim ruchem sięgnął mu do boku i oderwał wiszący na łańcuszku sztylet. Lis pozbawiony został w jednej chwili pazurów...

— Teraz — rzekł myśliwy — gadać możemy z sobą jak przyjaciele.

Przy tych słowach zaśmiał się. Śmiech to był nieprzyjemny i lisa bynajmniej nie rozweselił.

— Chcesz mię zgubić? — jęknął ten ostatni, po włosku również. — Cóżem złego ci zrobił?...

— I zguba, i ocalenie w twych są rękach. Będziesz mógł wkrótce wybrać to lub tamto. Tymczasem podnieś z ziemi worek. Szkoda szlachetnego kruszcu, aby w prochu się tarzał. Przyda się on nam obu...

— Jaki worek! — wykręcać jął lis, obyczajem lisim. — Żadnego tu worka nie było...

<sup>206</sup>*addio* (wł.) — żegnaj. [przypis edytorski]

— Brzękiem obecność swą zdradził!  
 — Przywidzenie! Mógł to być zresztą brzęk szkła, któreśmy stopami potracili...  
 Giano zaśmiał się ciszką.  
 — Ha — z ironią rzekł — kiedy tak, to niechże ja sobie owo szkło na pamiątkę podejmę...  
 I schylił się ku ziemi.  
 Ale zanim ręką jej dotknął, już tamten na czworakach pełzał, zguby swej szukając. Ponowny brzęk był dowodem, że ją znalazł i podniósł. Zaraz też wyprostował się i skok potężny dawszy w ciemnościach, uciekać jął...  
 Na widok uchodzącej zwierzyny, myśliwy stanowiska nie opuścił. Trzymał on ją na nici mocnej, acz niewidzialnej, i nie obawiał się, aby mu się wymknęła.  
 — Do zobaczenia, mości Fabio! — zawołał w ślad za uciekającym. — Spotkamy się rankiem — na Ratuszu...  
 Lis zatrzymał się i gdyby nie ciemności, dałoby się z pewnością widzieć, że uszami strzyże i ogon pod siebie podtula...  
 Po chwili kamraci stali znów przy sobie...  
 — Czego chcesz ode mnie? — mówił Fabio głosem cichym i żalonym, w którym jednak drżała wściekłość tłumiona.  
 — Chcę, żebyś był dla mnie tym samym przyjacielem, co dawniej.  
 Tamten worek mocniej przycisnął i pomacał się po boku, gdzie przed chwilą jeszcze broń wisiała.  
 — Jestem nim — mruknął przez zaciśnięte zęby.  
 — Przyjaciele nic przed sobą nie ukrywają...  
 — Bywa to czasem konieczne...  
 — Konieczność taka uśmierca przyjaźń.  
 — Czemuż jednak rodzić się ma z niej nienawiść?  
 — Nienawiść? Kto tu mówi o nienawiści?  
 — Alboż nie dążysz do tego, by mię zgubić?...  
 — Anim o tym pomyślał! Drażni mnie tylko tajemniczość twoja. Nie znoszę zagadek. Gdy jedną z nich w życiu napotkam, nie mam spokoju, dopóki jej nie rozwiążę. Owej nocy umknąłeś nam, jakby za sprawą czartowską. Wróciwszy, nie umiałeś się po ludzku wytłumaczyć. „Hola! — rzekłem sobie — jeśli mój przyjaciel bawi się w lisa, ja zabawić się mogę w psa gończego!” No i, jak widzisz, tropiłem tak długo, ażem wytropił...  
 — Giano! Druhu mój! — tamten prosił płaczliwie. — Skoroś już ciekawość zaspokoił, zostaw mię w spokoju...  
 — O tym później!  
 — Ziomkowie jesteśmy — więcej niż ziomkowie! W tym mieście obcym jam ci ze wszystkich najbliższy. Rodzi nas nie tylko kraj jeden, ale i jedno miasto. Ja tylko i ty pochodzimy z pięknej Wenecji. Czyś zapomniał o tym, żeśmy nawet krewniacy? Wszakże twoja Teresina...  
 — Milcz! — syknął Giano, rzuciwszy się gwałtownie. — Milcz i strzeż się imienia tego wymawiać. Chyba żeś śmierci żądnym!...  
 — Milczę — ciągnął tamten. — O wszystkim milczę. Toć i ciebie nazywam Gianem, a nie...  
 Nie dokończył, bo mu dłoń Giana gardło ścisnęła i tkwiący w nim wyraz zdusiła...  
 Zacharzał i do ziemi przysiadł. Puszczony, zatoczył się i przez chwil parę przyjąć do siebie nie mógł. Czas jakiś milczeli obydwa, ciężko dysząc — jeden z bólu i przestachu, drugi z wściekłości.  
 — Gadaj — odezwał się wreszcie Giano głosem zmienionym — duże masz *stamtąd* zyski?  
 Fabio, przelękły, do kolan mu się rzucił.  
 — Zabierz wszystko — jęczał — ale nie gub mnie i nie zabijaj!...  
 — Głupi grajku! — rzekł Giano wyniośle. — Darami twymi ja gardzę. Wezmę od ciebie, ile będę potrzebował, a potem oddam. Właściwie: nie oddam, ale w twarz ci rzucę — ze śliną pospołu!...  
 Tamten podniósł się; wciąż jednak jeszcze pokorny i splaszczony.

— Nie rozmyśliłem w to się wdał — mówił jakby nieprzytomnie. — Uciekając przed strażą w loch wpadłem, któremu ani znał, ani szukał... Loch doprowadził mnie do *tamtych* ludzi... Miałem do wyboru: przystać do nich albo zginąć... Ojciec oszczędzać kazał, zbierać — a z czego? Czy z tej kusej gaży dworskiej, która ledwie na przyodziewek wystarcza?... Dobrze, że sobie czerwieńców trochę uciułam — kiedy nie stać na lepsze!...

Nagle oprzytomniał i kilka kroków w tył się cofnąwszy, śmieiej nieco zapytał:

— Ale prawdę rzekłszy: co tobie do tego?

Giano pomilczał chwilę i odparł znacząco:

— Zaraz się dowiesz. Ale chodźmy stąd.

— Słusznieś rzekł. Chodźmy.

Opuścili zaułek, który poczyniło już zalewać atramentowe światło zorzy przedporannej. Ale zanim do Rynku doszli, niebo i ziemia znów pociemniały. Przecierający się wschód zaszedł na powrót chmurami. Jednocześnie mżyc zaczęła deszcz drobny a ciepły i mgła rozsunęła się w powietrzu.

Rynek tonął w mroku. Światła, które tu i owdzie przed figurami świętych płonęły, zdawały się gwiazdami. Każdą z tych gwiazd otaczała aureola. Gmach ratuszowy przybierał w ciemnościach kształty niepewne a straszne. Smokowi był podobny i poruszać się zdawał. A uczepona u szczytu latarnia błyszczała krwawo i groźnie niby smoka owego żrenica...

Choć nie było tu żywej duszy, Włosi skręcili w Krzywe Koło, drogi nakładając. Szli potykając się, w pewnym oddaleniu od siebie, i milczeli. Mimo ciemności tak szczerze każdy z nich twarz płaszczem zakrywał, że mu spod niego ledwie koniec nosa widać było.

Nie wyglądali już na zwyciężonego lisa i zwycięskiego łowcę; raczej na lisów parę — stropionych.

Dopiero w bliskości klasztoru Giano odważył się usta odsłonić i ku mówieniu ich użyć.

— Więc pytałeś, co mi do tego! — rzekł, zatrzymując się pod ścianą domu narożnego od strony Dunaju. Na froncie tego domu mały kopcący kaganek oświetlał niewyraźnie płaskorzeźbę wyobrażającą Łazarza przez psy lizanego. Był to najpierwszy „lombard” warszawski.

Fabio, na którego trochę światła padło, miał twarz bladą, ale zuchwałą.

— Pytałem — odburknął — i pytam. Czyż dlatego, że z jednego miasta pochodzimy, masz być szpiegiem moim i dozorcą?...

Giano roześmiał się sucho.

— Donosicielem? — ciągnął tamten.

— Głupiś! co mi do ciebie! Tyle mnie obchodzisz, co ten nagi żebrak nad nami!

— O cóż więc ci idzie?...

— O to — rzekł głucho śpiewak, ujmując ramię towarzysza w kleszcze długich, twarde jak z żelaza palców — że w danej chwili ty właśnie względem mnie stać się możesz tym wszystkim...

— Czym?

— Szpiegiem, dozorcą, donosicielem — czyli, w jednym wyrazie rzecz zamykając: zdrajcą.

Oczy Fabia zaokrągliło zdziwienie. Chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili Giano ramię jego puścił i spokojnym rzekł głosem:

— Dość już o tym. Spać chodźmy.

I pociągnął go w stronę klasztoru.

Na korytarzu, gdy już do komnat swych rozchodzić się mieli, śpiewak, lekko ziewając, rzucił jakby od niechcienia:

— Zapomniałem ci powiedzieć o nowinie...

— Cóż takiego?

— Żenię się...

I głową na pożegnanie kiwnąwszy, zniknął w drzwiach swojej celi, które się zaraz za nim zamknęły.

Fabio stał przez chwilę jak skamieniały. Twarz mu tylko to srożyła się, to uśmiechała, a usta coś niewyraźnie mruczały. Wreszcie w czoło się stuknął i zawołał:

— Zrozumiałem. *To równoważy tamto!*

## XII. ŁAŃCUCH, KTÓRY ZAMIAST ZWIĄZYWAĆ, ROZWIĄZUJE

I znów jesteśmy w tym samym, wyboistym, ponurym, do wąwozu skalnego podobnym zaułku. Zmierzch pada cichy, jasny, ciepły, owijając wszystko jakby w gazę jedwabną. Na dole, w wąskim przejściu Białej Wieży, straż pobrzękuje halabardami. Wzdłuż muru poszczerbionego kot się przesuwa. Po ceglach, głośno ćwierkając, skaczą wróble. Środkiem zaułka płynie ściek, niknąc nie opodal Wieży w otworze podziemnego kanału. Po bokach pełno śmieci i wszelkiego rodzaju odpadków. Na słomie pod parkanem wylega się<sup>207</sup> pies prawie zupełnie pozbawiony sierści, a wychylające się spoza parkanu drzewo białym kwiatem nań sypie.

Furta od ogrodu Szeligów do połowy otwarta. Widać przez nią kawałek szpaleru, w szpalerze ławkę, na ławce dwoje młodych ludzi, oddzielonych od siebie całą jej długością.

To Szczerb i Dobruchna.

Młodzieniec w nowym, opiętym żupaniku<sup>208</sup>, barwy cyrkonowej, i w lekkiej, na ramiona zarzuconej, a pod szyją na srebrną agrafę zapiętej ferezji<sup>209</sup> wygląda pięknie i zawadiacko. Wąsiki sterczą mu jak u kota, nad czołem jeży się lisi czub tak zuchwale i wyzywająco, jakby światu całemu urągał. Lewa ręka junaka wspiera się na nieodstępnym czekaniu, prawa obraca w palcach różę płomienistą, która od czasu do czasu ku ustom się podnosi.

Jedno spojrzenie wystarczy, by poznać, że róża ta jest siostrą tamtej drugiej, która tak cudnie zdobi czarne włosy dziewczyny. Niezawodnie z jednego krzaka je zerwano; może nawet przed chwilą jeszcze w jednym miejscu tuliły się do siebie serdecznie...

Dobruchny ubiór skromny jest, jak zawsze. Ale czarne oczy mają tyle blasku, kształtne wargi tak silnie się czerwienią, twarz, choć śladami ospy naznaczona, tak świeża jest i tak różowa, że od samego ich widoku ciepło się robi w sercu. Co po kupnych strojach, gdzie młodość i zdrowie skarby swe sypią za darmo!

Zresztą krewniaczka Szeligów nie ma w sobie śladu zalotności. Oczy jej patrzą spokojnie, a uśmiech, jeśli jest rozkoszny i wabny<sup>210</sup>, to dlatego tylko, że innym być nie umie...

Młodzi mówią o uczuciach — nie o swoich wszakże.

— Więc jeszcze nie „amen”? — pyta Szczerb, końcem czekana w piasku wierząc.

— Chwała Bogu, daleko jeszcze do niego — przytwierdza z zapalem Dobra.

— Ba! Rzecz to czasu tylko...

— I czegoś więcej także. Najpierw stryjka Balcera nie spodziewać się rychlej jak za dwie, trzy niedziele. Po wtóre... po wtóre...

— Bodaj, że tu nie ma żadnego „po wtóre”!...

— Otóż jest. Po wtóre, że Basia słowa wyraźnego nie dała.

— Mogła je była pomyśleć...

— I nie pomyślała także. Pewnam tego.

— Waszmościanka w myślach jej czytasz?

— Czytam. A nie potrzeba do tego czarodziejstw żadnych. Ja myśli nie ze słów poznaję, jeno z postępków.

— A jakże ono pieścicidło wychuchane postępuje?

— Dziwnie. Płacze i wzdycha. Czasem przed obrazami się modli, to znów na belwederku siada i nic nie mówiąc w niebo tylko patrzy a patrzy... Najczęstsze u niej przecie: lutnia i ksiąg włoskich czytanie...

— Grajek pewnością je znosi?

<sup>207</sup>wylega się — dziś: wyleguje się. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>żupan (z czes.) — w daw. Polsce suknia męska z długimi wąskimi rękawami, zwykle ze stójką lub małym kołnierzem, zapinana z przodu pod szyję na liczne guziczki, haftki a. szamerowana, sięgająca za kolano, noszona pod kontusz, często od niego dłuższa. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>ferezja (z tur.) — wierzchni strój męski pochodzenia wschodniego, szeroki płaszcz, o szerokich także rękawach, ze stójką, ozdobnie szamerowany; uroczystry strój bojarów ros.; ferezja przyjęła się jako strój szlachty w Polsce w XVII w., często szyta była z czerwonego sukna, podbita futrem a. jedwabną podszewką. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>wabny — dziś: powabny a. wabiący. [przypis edytorski]

— Tak, ale ona między nimi wybór czyni. Teraz przerzuciła się nagle od świeckich do nabożnych. Dawniej wysławiała Petrarke, dziś rozplywa się nad Franciszkiem z Asyżu.

— Tyłeż wiem o jednym, co o drugim!... — mruknął junak do siebie.

— Na pamięć się uczy jego *Kwiatczków*...

— Ba!

— Ale dziś znowu smak jej się odmienił. Cały ranek molestowała ciotkę o Tomasza à Kempis...

— Świętego jej się zachciało?

— Właśnie. To jest nie osoby jego, ale księgi. Wiesz waść — tej... *De contemptu mundi*<sup>211</sup> albo inaczej: *De imitatione Christi*<sup>212</sup>...

— Hm... Anim przypuszczał, że święci księgi pisują... Cóż to ma jednak oznaczać?

— Na mój rozum jest to dwóch rzeczy znakiem. Pierwszej, że Basia myśli o kimś, wdycha do kogoś i sprzyja komuś. Drugiej, że tym kimś nie jest Giano...

— Więc Jur?

— Tak by należało. Obawa tu wszakże zachodzi jedna — wagi niemałej... Gdy Jurasia nie będzie, Włoch miejsce jego zajmie...

— Otóż to! Trzeba więc Zawisłaka sprowadzić, a tamtego odsunąć...

— Łatwo to rzec. Ale sposób?

Szczerb na tył głowy odrzucił kołpaczek, czoło srodze namarszczył i trzeć je poczał. Natężenie myśli z trudem mu przychodziło.

— Ba! — rzekł wreszcie uradowany. — Sposób jest — i gładki...

— Jakież?

— Włocha w łeb i do Wisły, a Wieżę podpalić, by Jurach drapnął!

Dziewczyna zwróciła nań oczy zdziwione.

— Waści żarty się trzymają... — rzekła.

— Co zaś! — odparł urażony. — Nie do żartów mi. Chcesz waszmościanka? — pójdeż zaraz i com rzekł, zrobię! Jakem Szczerb!

Wstał z ławki, do odejścia gotów.

Dobra spojrzeniem go zatrzymała.

— Ja wiem sposób<sup>213</sup> gładzy — rzekła.

— Ciekaw go jestem.

— Mówiłeś waszmość, że on, niebożę, robotą się zabawia?

— Łańcuch wykuwa. Ale jaki łańcuch! Na szyję króla chyba — albo królowej!

— Właśnież w tym rzecz. Najmiłościwszy nasz pan artystą jest i w kunsztach się kocha. Giana wypuścił za to, że śpiewa cudnie — czemuż by nie mógł postąpić tak samo z Jurasiem, który jest mistrz w złotnictwie.

— Hm... bez urazy waszmościanki... mój sposób gładzy i prędzy!

— Zatrzymamy go w zapasie. Tymczasem waszmość łańcuch mi ów przynieś.

— Chciałażbyś<sup>214</sup> waszmościanka sama z nim iść do króla?

— Nie, do królewskiego złotnika tylko.

— Do Redura?

— Tak. Przyjaciel to stryjków, a i Zawisłakom przychylny.

— Ha, pomagaj Bóg! U Jura będę i łańcuch przyniosę. A teraz pora już mi odejść.

Podniósł się z ławki i ferezję na sobie obciągnął, a wąsy rozczapierzył.

Dobruchna nie wstawała. Ze spuszczonej oczyma, z twarzą nagle posmutniałą szepnęła cicho:

— A o sobie nicze mi waszmość nie powiesz?...

— O sobie? — zadziwił się Szczerb. — Alboż to we mnie jest co ciekawego? Rodzic mój uszy zatyka, gdy o synu mówią — cóż dopiero obcy!

— Ja bym przecie dowiedzieć się czegoś rada. Choćby o trzech garściach owych — dodała weselej niby, do uśmiechu się zmuszając.

— Ano — odrzekł w tymże tonie Szczerb — garść ostatnia przedstawia w tej chwili podobieństwo do mnie: jest na wychodnym...

<sup>211</sup>*De contemptu mundi* (łac.) — O pogardzeniu światem. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*De imitatione Christi* (łac.) — O naśladowaniu Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*wiem sposób* — dziś: znam sposób. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*chciałażbyś* — konstrukcja z partykulą -ż-; znaczenie: czy chciałaś. [przypis edytorski]

— Kończy się?  
— Tak nawet jakby już się skończyła.  
— Cóż będzie?...  
— Dobrze będzie. Pan Lisowski<sup>215</sup> werbunek urzęda: pójdę i ja za innymi. W pułku czerwienice niepotrzebne.

Dziewczyna bardziej jeszcze posmutniała.  
— Rzucić chcesz waść Warszawę? — szepnęła.  
— Mamże czekać, aż ona mnie rzuci?  
— I... i... — wyjąkała z trudnością, jakby jej coś w gardle przeszkadzało — cknąć<sup>216</sup> się waszmości nie będzie?  
— Hej! — wykrzyknął raźnie, z oczyma błyszczącymi — w polu, na twardej kulbace, nikomu się nie ckn!

Dobra wstała w milczeniu i w milczeniu pożegnanie młodzieńca przyjęła. On, rękę jej całując, w oczy chciał spojrzeć, ale mu je schowała. Nie stracił rezonu i rzekł jeszcze:

— Jakby z łańcuchem zawiodło, to... jam gotowy!  
Odszedł szybko, z głową podniesioną, z ruchami junackimi. Nagle jednak, przy furcie już samej, zawrócił. Ku Dobruchnie, w jednym miejscu wciąż stojącej, podbiegł i rzekł spieszenie:

— A com mówił, że mi się cknąć nie będzie, to... nieprawda.  
I spieszniej jeszcze wybiegł z ogródka.  
Niewiasty miewają często szczęśliwe natchnienia. Nie upłynęło tygodnia, a już cudny ów łańcuch, wykuty albo raczej wypieszczony przez Jura, znajdował się w rękach królewskiego złotnika.

Reduro, człowiek skryty, milczący, a może i zawistny nieco (i między mistrzami to się zdarza), obejrzał dzieło kolegi z uwagą: najpierw gołym okiem, potem przez szklą powiększającą, lecz o wartości jego ani słowa nie rzekł. Chowając klejnot do szkatuły dębowej, mruknął:

— Dobrze. Jutro Najjaśniejszy rzecz tę zobaczy...  
Gdy nazajutrz rozwieszono przed królem ów majstersztyk, którego każde ogniwo co innego wyobrażało, ukoronowanemu dyletantowi powieki drgać poczęły. Był to jedyny znak wzruszenia na tej twarzy woskowej...

A jak na toż, zbierał się właśnie król w tym czasie małżonce swej dar piękny ofiarować, w nagrodę za ostatniego synaczka. Postanowienie jego szybko dojrzało; głowę kiwnął przyzwalając i rękę po klejnot wyciągnął.

Przesuwając między palcami ten fantastyczny różaniec kwiatów osobliwych, ptasząt rajszych, anielskich główek itp., pytał o artystę, który go wyśnił i w kształty zaklął.  
Reduro wymienił nazwisko...

Okazało się, że królowi Zawiaślacy obcy nie byli. Ze starym naradzał się nieraz nad modelami naczyń świętych. O talencie młodego również coś był zasłyszał.

Wówczas mistrz nadworny, w imieniu starej matki Jura, a i swoim też (boć braćmi byli w sztuce), do stóp monarchy suplikę<sup>217</sup> pokorną złożył. Czyż godzi się, aby młodzieniaszek tak zacny jedną chwilę krewkości półrocznym zamknięciem opłacać miał? A jego matka sparaliżowana za jakież winy pokutę taką cierpi?...  
Król wysłuchał, oczów od arcydzieła utrzymanego nie odwracając, potem rzekł krótko:

— Marszałka tu prosić.

Wynik tej konsultacji niedługo dał czekać na siebie. W kilka dni później zamkniętemu w Wieży Okrągłej Jurowi przyniesiono sto dukatów w woreczku z herbem Wazów, a staroście rozkaz natychmiastowego wypuszczenia młodzieńca na wolność.

Tegoż dnia wieczorem Jur, płacząc z radości, klęczał u kolan matki swej, w dworku na Podwalnej. Staruszka (przed którą prawdę zatajono) witała syna jako z dalekiej drogi

<sup>215</sup>Lisowski, Aleksander Józef (ok. 1575–1616) — pułkownik królewski, twórca i dowódca tzw. lisowczyków, oddziału lekkiej jazdy powstałego w 1611 r. i prowadzącego walkę podjazdową na wschodnich i północnych rubieżach Rzeczypospolitej podczas wojny polsko-rosyjskiej (1609–1618); oddział złożony był z Kozaków, różnego rodzaju wykołajców i desperatów (pierwszy oddział Lisowskiego przyjął nazwę straceńców), którzy służyli za zysk z łupów, nie obciążając skarbu państwa kosztami żołdu. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>cknąć — tęsknić. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>suplika (z łac.) — prośba. [przypis edytorski]

wracającego. I ona miała łzy w oczach, a pochylając się nad jedynakiem, drżącym głosem mówiła:

— Dobrześ, synusiu, zrobił, pośpieszywszy... Matkę twoją czeka wkrótce dalsza jeszcze droga — cóż byłoby, gdybyś się z nią nie pożegnał?...

Potem przyszła kolej na sprawy domowe, które pod niebytność Jura bardzo upadły. Pieniądzy na gwałt było trzeba...

— Ale łaska Boża z nami — zakończyła utyskiwania. — Dziś właśnie o zmierzchu cudzoziemiec tu był jeden i robotę zamówił. Robota niepowszednia, na sto dukatów...

— Magnat to być musi... — zauważył młodzieniec. — A robotaż owa jaka?

— Łańcuch białogłowski, kanak ze złota szczerego. Kamieni żadnych nie chce, ale robota ma być na schwał misterna. Ogniwo każde, mówił, co innego niech wyraża. Ozdób żadnych, jeno kwiatki, ptaszęta i główki anielskie...

— Kanak białogłowski... kamieni żadnych... kwiatki, ptaszki i aniołki... Ależ to kropła w kropkę łańcuch, jaki król wziął dla królowej!...

— Właśnież i on to mówił. Podobien ma być zupełnie królewskiemu...

Jur głową pokręcił, dziwiąc się.

— I któż on zacz? — spytał.

— Przejedny jakiś. Szwed pono. Z samym nie gadałam, jeno z dworzaninem jego, który polskiego języka uczony...

— Ha! — wyrzekł Jur, pomyślwszy trochę. — Szwed nie Szwed — dukatami płaci, robotę wziąć trzeba. Czerwieńce przydadzą się, nieprawda, matko?

— Oj, prawda! — przytaknęła.

— Wreszcie pamiętać nie zawadzi o tym, czego w szkole uczono. *Labor omnia vincit improbus*<sup>218</sup>...

Zawiślakowa westchnęła...

— Nierazem to od rodzica twego w złych okazjach słyszała<sup>219</sup>. — głosem wzruszonym rzekła.

— Ha! Prawda w tym tkwić musi.

Młodzieniec poweselał. Po izdebkach niskich kręcił się, rzecz każdą brał do ręki, długo niewidziane kąty opatrywał. Matka mówiła o tym, o owym — on na wszystko odpowiedź miał wesołą i otuchy pełną.

— Cóż Szeliżanka? — zagadnęła wreszcie. — Dawno mnie już o niej wieść żadna nie doszła. Będzież z mąki tej chleb?...

To go od razu z tonu zbiło.

Nic nie odrzekł, ale wraz sposepniał, na ból głowy i na niewywczas<sup>220</sup> skarżyć się począł...

Niebawem też matkę na dobranoc ucałował i spać legł.

A nazajutrz, o świcie samym, siedział już na górze zamknięty i nad kanakiem zamówionym pracował.

### XIII. DALSZE OGNIWA TEGO SAMEGO ŁAŃCUCHA

— Zapisali się już: Zuzel, Krzywoszewscy obydwaj, z Konopiaków jeden...

— Starszy?

— Nie, młodszy. Dalej: nowomieszczan pięciu, Gajda ze starostwa, kalikator<sup>221</sup> od Świętego Ducha, kuśnierz Kot, co mu żona i dziątek dwoje pomarło, pogorzalców kilku z Rybitwy, płatnerz jeden, cyrulików dwóch. Jandrzych Szafraniec kwapił się za innymi, ale go nie przyjęto, bo koślawy i żółtego włosa...

— I kiedyż pod chorągiew stajecie?

— Jak skoro zapis dziesięciu secin<sup>222</sup> dosięże<sup>223</sup>. Za dwie, trzy niedziel.

— Munderunek dają?

<sup>218</sup>*labor omnia vincit improbus* (łac.) — ciężka praca przewycięża wszystko. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*nierazem to (...) słyszała* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nie raz to słyszałam. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*niewywczas* — brak wypoczynku; tu: zmęczenie. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>*kalikator* (z łac.) — pomocnik organisty. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>*secina* — setka. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*dosięże* — dziś: dosięgnie a. osiągnie. [przypis edytorski]



— Lada jaki<sup>224</sup>. Konia dostać można, choć lepiej mieć swojego. Uprząż prosta: siodełko krótkie, wędzidło małe a mocne. Strojów i błyskotek ani poświeć. Żelaza tyle tylko, co na szabli i pod kopytami końskimi.

— A zbroja?

— Właśnież w tym rzecz: nic, co by ciążyło. A więc ni pancerza, ni tarczy, ni przyłbicy, żadnych też blach na konia, naramienników i nagolenników...

— To was, niebożęta, rozsieczą<sup>225</sup>!

— Nie stoimy o to<sup>226</sup>. Śmierć to śmierć. Nie darmo przecie „straceńcami” nas zowią...

— Chybać wam żywot niemiły...

— Prawie. Jedni radzi by go pozbyć się, jak brzemienia, co uciska; inni nie mają go za jaje... Komu miękko a słodko, do pana Lisowskiego nie idzie. A kto idzie, wie, co go czeka. Śmierć? — wielkie rzeczy! Koziołek z tej strony na tamtą.

— Mędrkować, widzę, poczynasz...

— Zgadłeś, robi się ze mnie *philosophus*<sup>227</sup>. Na tym świecie trzeba mieć jedno z dwójga: czerwienice albo filozofię. Komu zbywa i na tym, i na tamtym, pogardy godzien. Ja pierwszy w oczy mu napluję — jakim Szczerb!

Junak wstał przy tych słowach, ramiona rozłożył, przeciągnął się i przeraźliwie ziewnął.

— Nie pójdziesz na wino? — rzekł do towarzysza, który przez cały czas rozmowy nad warsztacikiem swym garbił się, młotkiem stukał, pilnikiem tarł, metal topił i spajał. — U Agły nasi się zbierają. Huczek tam teraz ciągly od rana do wieczora.

— Wiesz, że nie wychodzę — odrzekł Jur. — Matka prawie że konająca, a prócz siostry zakonnej nie ma przy niej nikogo. Przy tym łańcuch ten przeklęty na gwałt wykończyć muszę. Szwedzisko codziennie nasyla pokojowca, o pośpiech nagląc. Dziś na wieczór robota ma być gotowa. Inaczej sto dukatów przepadnie...

— Racja jest. O Szweda mniejsza, ale dukatom szacunek się należy.

Młody złotnik odłożył narzędzia, na rękę wsparł się i wzrok smutny w przestrzeń posłał.

— Jeden jest jeszcze powód, dla którego w domu więzić się wolę — rzekł smutno. — Ty go znasz. Oto lękam się spotkania z wrogiem swym — i z nią. Marszałkowi słowom dał, że zwady unikać będę. A i jej wolę tymczasem nie widzieć. Dopiero gdy stary Szeliga powróci, dowiem się, com wart i co życie moje warte. Słowo rodzica losy moje przeważy.

— Może same one rychlej się jeszcze przeważą... — mruknął Szczerb, czapkę nakładając i wychodząc.

Po odejściu towarzysza Jur pracował ze zdwojonym zapalem. Pot występował mu na czoło, siły słabły (nocy kilka przy chorej matce bez snu przepędził) — nic go jednak zmóc nie było w stanie. Drżącą ręką spajał ogniwa, słabymi płucami w dmuchawkę dał i złoto mialkim proszkiem ostatecznie wygładzał.

Z dołu dochodziły jęki chorej matki. Starał się ich nie słyszeć, bo lękał się opóźnienia w robocie. Mimo to każdy z jęków owych, jak żądło gada, w serce mu się wpijał... Wreszcie, już o zachodzie słońca, podniósł się ze stolka, plecy zgarbione wyprostował i, jak człowiek pozbywający się wielkiego ciężaru, z głębi piersi odetchnął...

Łańcuch był skończony.

Obejrzał go raz jeszcze, okurzył, odmuchał, potem do szkatułki zawczasu przygotowanej schował i zeszedł na dół.

Matkę zastał dogorywającą. Spoczywała w swym krześle poręczowym wyprężona, sina, z odkrytym ramieniem, na którym astrolog znaki kreślił kabalistyczne.

W kącie, przy okiennicy do połowy odemkniętej, zakonnica czytała w głos modlitwy.

Ledwie miał czas klęknąć u stóp staruszki i kilka słów pociechy szepnąć, wbiegł *famulus*<sup>228</sup> z wiadomością, że Szwed ze służą swym po robotę zamówioną przybyli.

Wyszedszy do pierwszej izby, spostrzegł cudzoziemca, który jakby umyślnie w najciemniejszy kąt się zasunął. Skłonił mu się w milczeniu, podał szkatułkę i do lampy sięgnął, aby ją zapalić.

<sup>224</sup>lada jaki — byle jaki. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>rozsieczą — dziś: rozsieka. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>stać o coś — dbać o coś, troszczyć się o coś. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>philosophus (łac.) — mędrzec, filozof. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>famulus (łac.) — służący. [przypis edytorski]

Szwed powstrzymał go gestem...

— Pan mój — rzekł sługa — oczy ma chore. Blasku mocnego nie znosi...

Pozostano więc w półmroku.

Gość szkatułkę otworzył i z łańcuchem w ręku przystąpił do okna. Wysoki kołnierz płaszcza i nasunięty na oczy beret, którego wchodząc nie zdjął (uchodziło to wówczas — szlachcicowi zwłaszcza w gościnie u plebejusza), maskowały go całkowicie. Trudno było nawet zgadnąć: młody jest, czy stary?

Przy słabym świetle — tym słabszym, że tuż naprzeciw mur wznosił się obronny — obejrzał uważnie łańcuch, każde jego ogniwo palcami długimi obmacał. Nie wiadomo, co twarz jego wyrażała, ale oględziny skończywszy, kilkakrotnie kiwnął głową w sposób wyrażający zadowolenie.

Zaraz też słudze swemu zlecił coś półgłosem.

Sługa dobył spod łosiowego kaftana trzos tego wyładowany i wykładac jął na stół dukaty. Dukaty te błyszczały mocno, jakby je przed chwilą dopiero spod mincarskiego stempla wyjęto.

Gdy już setka była ułożona, Jur zbliżył się do stołu, pieniądze zliczył i do mieszka zgarnawszy, w kieszeń schował.

W tej chwili gość, stojący wciąż przy oknie, skinął na sługę i głosem przyciszonym długo mu coś prawił. Prawiąc, na łańcuch raz po raz wskazywał.

— Pan mój — rzekł sługa do Jura się zwracając — zapytuje, czy na zapince łańcucha można jeszcze liter kilka wyrycić?

— Można — odpowiedział młodzieniec. — Tu oto papier i inkaust; niech pan twój siądzie i litery owe napisze.

Gość żądanie spełnił.

— G. B. i B. S. — przeczytał Jur, obojętne spojrzenie na papier rzuciwszy. — Czy litery wyryte być mają w tym porządku, jak je napisano? — spytał.

Sługa, porozumiewszy się z panem, pośpieszył z objaśnieniem:

— Pierwsze dwie mają być w parze i drugie dwie w parze. Następnie obie te pary łączyć się winny ze sobą tak, aby jedną całość tworzyły.

— Dobrze — wyrzekł młodzieniec i raz jeszcze na papier spojrzął.

Ale w tej chwili myśl mu straszna przez głowę przebiegła...

— Cóż to? — mruknął do siebie, czoło ręką pocierając. — Najpierw G. i B., potem B. i S. — Czyżby?... Ależ tak, do pioruna! — krzyknął nagle, w stół pięścią uderzając — G. i B. to znaczy Giano Baldi, a B. i S...

Nie dokończył i z ręką do góry podniesioną na cudzoziemca się rzucił.

Ale cudzoziemiec i sługa jego za progiem już byli.

Wybiegł za nimi jak wściekły i zębami zgrzytając gonić jął uciekających.

W Bramie Wiślanej, otwartej jeszcze, udało się pochwycić za płaszcz mniemanego Szweda. Płaszcz rozchylił się i z fałd jego wyjrzała suchotnicza twarz Fabia...

Zaraz jednak Włoch silnym szarpnięciem wyrwał się i pomknął pod górę, w stronę Rynku. Ludzie gęsto się tam snuli i tłok panował znaczny. W tłoku gonitwa była trudniejsza i Jur, pracą długą wycieńczony, uczuł, że już za uciekającym nie zdąży...

Wściekły gniew opanował młodzieńca, co bardziej go jeszcze osłabiło. W ostatnim wysiłku dotarł na odległość jednego tylko kroku od zbiega i korzystając z okazji cisnął weń dobytym z kieszeni workiem z dukatami.

— Podły zdrajco! — krzyknął. — Kamratowi swemu to oddaj. Niech wie, że ja za sromotę pieniędzy nie biorę!

Dukaty rozsypały się z brzękiem po bruku. Zrobiło się zbiegowisko. Tłum z całego Rynku w miejsce to spłynął. Poczęto z krzykiem, popychaniem się i biciem manę zbierać złotą...

W tejże chwili od Ratusza kilku sług miejskich nadbiegło. Jeden podjął mieszek skórzany i jął zgarniać do niego dukaty, inni drzewcami halabard pospólstwo odganiaли. Nadszedł starszy jeden i dukat z ziemi podjąwszy, długo mu się przyglądał z uwagą niezwykłą...

W zamieszaniu tym o głównych jego sprawcach do szczętu zapomniano.

Fabio i jego towarzysz zniknęli na zakręcie, łańcuch ze sobą unosząc.

Jur, osłabły i zemdlenia bliski, dowlókl się do pierwszej z brzegu sieni, a we framudze ławkę znalazłszy, padł na nią bez czucia...

Rychło jednak przyszedł do siebie. Jakby go nagle dreszcz niespodziewany przeszedł, rozemknął oczy i drżącymi usty wyszeptał:

— Matka...

W chwil kilka później był już we dworku i całował zimne ręce trupa. Astrolog umknął; zakonnica, świecami woskowymi umarłą obstawivszy, modlitwy łacińskie mruczała. Jedna chwila przetworzyła dom cały do niepoznania. Wydawał się lochem zimnym, siedliskiem duchów i straszyleł...

Młodzieniec padł na kolana, oczy rękami zakrywając. Płakać jednak nie mógł. W formie gwałtownego pragnienia przebiegła mu przez głowę myśl: „Jakby dobrze było znaleźć się teraz o sto mil stąd...”

Wstał i obowiązkami swymi się zajął. Famulusa wystraszonego z kąta wyciągnął i po babę kościelną pchnął. Zakonnicy wydał rozporządzenia co do katafalku i klucze od szaf z bielizną doręczył. Wreszcie na górę wpadł, rozrzucone kosztowności i narzędzia do skrzyni zamczystej schował i zamknął.

Dopełniwszy tego wyszedł, zataczając się, na ulicę.

Celu przed sobą żadnego nie miał. Wyszedł, bo wyjść musiał. Zmusiła go do tego siła wewnętrzna, nieprzeparta. Czuł, że gdyby siadł nieruchomo, sam na sam z trupem, na pastwę myśli swych oddany, pewnie by oszalał...

Noc była jasna. Ziemia kąpała się w drżących, niebieskawych blaskach. Górą płynął księżyc niby kula srebrna.

Po krótkim namyśle Jur skierował się ku miastu.

Bramę już zamykano, znajomi wszakże strażnicy przepuścili go bez trudności. Szedł pod górę powoli, usiłując zapomnieć o matce, o rywalu swym, o hańbie, jakiej doznał. Udawało mu się to chwilami. W trudnym tym zadaniu umysł silnego miał sprzymierzeńca — w gorączce.

Zbliżające się otwarcie sejmu, napływ szlachty i zaciągi wojskowe znacznie ożywiły miasto. Już na Gnojnej, pod murem jezuickiego „Klasztorca”, natknął się na „towarzyszów” pijanych i na nietrzeźwych „ciurów”. Ci i owi zaczepiali go — mijał jednak zaczepiających, nie odpowiadając.

W Rynku tłumniej było jeszcze. Tłumniej i hałaśliwiej. Służba senatorska wyrwała kamienie z bruku, zatykając kołki i kuchnie polowe budując. Wprawdzie nie zatary się jeszcze ślady pożaru od kuchni takich wszczętego, ale o tym nikt z „urodzonych<sup>229</sup>” nie myślał. Alboż żołądki szlacheckie nie miały większych przywilejów niż mieszczańskie domostwa?

Śpiewano, śmiano się, kłócono. Co kroków kilka rosły, brzuchaty szlachcic, w złotych butach, w czapie z czoła zsuniętej, z wąsami jak miotły, z czerwonym nosem i tęgo zalaną palką, sękaczem się podpierając a ciężko dysząc, płynął wśród tłumy jak korab<sup>230</sup>. Wszystko mu z drogi ustępowało...

Towarzysze, pod ramię się ująwszy, chodzili środkiem po pięciu, po sześciu, taczając się w lewo i w prawo i nikomu przejścia wolnego nie dając.

Co chwila przychodziło do krzyków, do zwady, do bicia się na pięście i na czekany. Węgry marszałkowscy w pocie czoła pracowali. Wieża Okrągła przepełniona już była „harezstantami”. Zamykano ich teraz w Ratuszu, a niektórym nawet wójt dał gościnę w obszernych swych piwnicach...

Jurowi rozgardiasz ten był na rękę. Oszołomił go. W głowie mu wirowało, w oczach go paliło, w piersiach piekło. Szedł jak pijany. Spotkał przyjaciół kilku, którzy na powitanie ramiona rozstawili. Wyminął ich, ręki nie podając. Wołali nań po imieniu — udał, że nie słyszy.

Przez godzinę może błąkał się tak, pozwalając fali ludzkiej, aby go niosła to w tę, to w ową stronę. W tym czasie wstępował kilkakrotnie do gospód jakichś, coś kupował, coś pił, ale wszystko to bezwiednie. Raz zamierzył się nań ktoś obuchem<sup>231</sup>, to znów miodu szklanice na niego wylano — on tego wszakże ani czuł, ani widział.

<sup>229</sup>urodzony — szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>korab — statek. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>obuch — broń ręczna podobna do czekana. [przypis edytorski]

Wreszcie, ulegając wciąż tej sile, nad rozwagę wyższej, która krokami jego kierowała, znalazł się niespodzianie — przed domem Szeligów.

W oknach od czoła ciemno było. W jednym tylko — w którym poznał okno ciotczynej komnaty — migotał słaby, a zabarwiony z lekka płomień lampki weneckiej. U mieszczan bogatszych lampki takie przed obrazami świętych wieszano.

Postać chwilę, w płomień ów się wpatrując. Potem skrzył w bok, gdzie ciemno było i cicho. Podniósł oczy w górę: ściana cała, srebrem księżycowym zalana, wychodziła z ciemności jasno i wyraźnie, jak przy świetle słonecznym...

Bez trudności też dojrzał belwederek, kwiatami obstawiony, z którego drzwi szklane wiodły bezpośrednio do komnat niewieścich.

Spojrzał na belwederek i zaraz oczy odwrócił. Potem przetarł powieki i spojrzał powtórnie. Ze wzrokiem wytężonym i rozszerzonymi nad miarę źrenicami stał przez czas długi bez ruchu, jakby go nagły przestрах okamienił.

A jednak nie działo się tam w górze nic strasznego...

Na belwederku siedziała dziewczica o złotych włosach na ramiona rozpuszczonych i przepaską perłową spiętych.

U stóp dziewicy klęczał młodzian w stroju włoskim i podniósłszy obie ręce do góry, zawieszał na jej szyi bogaty, złoty łańcuch.

Oto wszystko.

Jur, napatrzwszy się widokowi temu do syta, odetchnął głęboko i odszedł. Odszedł powoli, krokiem spokojnym i pewnym. Mogła być twarz jego przestрах wyrażać; w rzeczywistości strachu żadnego nie doświadczał. Przeciwnie: wszystko mu się zupełnie naturalnym wydawało...

I znów znalazł się wśród tłumu zapelniającego Rynek. Huczało tu jak wprzód. Huczenie to przyjemnym mu było. Rozróżniał już teraz głosy i twarze znajome poznawał. Opuściła go zupełnie gorączka i jasnym mu się stało od razu: dokąd i po co zmierza...

Nie przyśpieszając kroku ani go też zwalniając, skierował się prosto ku Ratuszowi. Minął żelazną kunę, ani spojrzawszy na osadzoną w niej za czary szewczychę; minął szereg kamienic, których ciężkie drzwi z trzaskiem zamykano; minął budę, z której wystawały czarne miejskich hakownic<sup>232</sup> paszcze — i zatrzymał się dopiero przy ciemnym otworze do lochów prowadzącym.

Głowę wytknął i przez chwilę nasłuchiwał. Potem nogę przez próg przelożył i po oślizgłych schodach śmiało na dół się spuścił.

W winiarni pana Agły-Abłanowicza hałas panował piekielny. Weselość do dzikości tu niemal dochodziła. Rozmowy były wrzaskami, śmiechy ryczeniem, śpiew wyciem. Harmider ten jednak, pod ziemią rodzący się, w ziemi pozostawał. Przechodzący mimo Ratusza słyszeli tylko głuche wrzenie — niby klekot gotującej się kaszy...

Była to główna kwatery „straceńców”. Młodzież i ludzie dojrzały, wykwintnie i prawie nędzarze, warchoły i bohaterowie prawdziwi w pstrym i niesfornym zmieszaniu fantastyczny obraz tworzyli. Karności tu jeszcze żadnej nie było — jak zwyczajnie pomiędzy ochotnikami. Cnoty wojenne dopiero pod chorągwią znaleźć się miały.

Jedni stali w gromadkach, żywo gestykulując i głowy zadzierając do góry; inni obśledli stoły i pili a krzyczeli, za szyję się obłapiając. Kilku leżało na ławach pod ścianami, a bodajże niejedni i pod ławą obrał już sobie leże...

W głębi izby, na miejscu najwidoczniejszym, ustawiony był stół, którego się tu dawniej nie widywało. Stół to był prosty, z tarcic sosnowych byle jak zbity, na krzyżakach oparty. Leżała na nim papierów kupa i stał wielki jak maźnica kałamarz.

Za stołem siedział człek urodziwy, lat trzydziestu kilku, z podgoloną czupryną i pięknym, zawieszonym wąsem. Od pierwszego wejrzenia odgadywało się w czleku tym osobę główną, dyrektora i reżysera całego widowiska. Przy nim i za nim stali ludzie różnego wieku z minami zadzierzystymi i razem doń gadali. On słuchał z twarzą pogodną, na karcie przed sobą leżącej coś kreślił i co chwilę parę z kubka srebrnego popijał.

Był to pan Aleksander Lisowski.

Jur wszystko to spojrzaniem jednym objął, rozróżnił i zapamiętał.

<sup>232</sup>hakownica — ciężka strzelba lontowa, opatrzona hakiem wystającym przy wylocie lufy; hakiem tym opierano strzelbę na murze, aby zminimalizować siłę odrzutu. [przypis edytorski]

Drugie jego spojrzenie pobiegło w tłum, szukając Szczerba.

Znalazł go w najhałaśliwszej kompanii, wśród próżnych dzbanów i kubków powywaranych. W tej chwili właśnie, dwu kompanów za szyje trzymając, całował się z nimi w twarz i kłął, że życie za nich odda...

Jur poszedł prosto do przyjaciela i nic nie mówiąc, na oczach mu stanął.

— Wszelki duch!... — krzyknął tamten, nowych druhów puszczając. — Tyżes to, melankoliku?

— Jak widzisz — odrzekł Jur smutno.

— Ależ wyglądasz... niech cię! Z tamtego świata chyba wracasz?

— Idę tam dopiero... — szepnął młodzieniec, tak cicho jednak, że go towarzysz nie dosłyszał.

— Gadajże: czego chcesz? — ciągnął Szczerb, zza stołu wylażąc i przemocą sadzając go na ławie. — Tokaju ci dać? Pinioly, petercymentu, seku? A może rywułę wolisz albo miód stary? Jest wszystko, czego dusza zapagnie, a brzuch i gardło wstrzymają!

— Chcę przystać do was — rzekł Jur głosem drewnianym.

— Do was? Co to jest: do was? Gadaj wyraźnie do kogo?

— Do waszej kompanii...

— Pijackiej?

— Nie, żołnierskiej.

Szczerbowi oczy się zaiskrzyły. Odsadził się, wąsy zadarł i przez chwil parę milcząc, mierzył towarzysza wzrokiem od stóp do głowy. Wreszcie przyskoczył doń, w pół go porwał i potężnym zamachem na stole postawił.

— Panowie bracia! — na całą izbę wrzasnął. — Oto nowy straceniec!

A w odpowiedzi wszystkie piersi huknęły:

— *Vivat!!!*

#### XIV. OGNIWO OSTATNIE

W domu Szeligów wesoło.

W komnatach pierwszego piętra drzwi na rozcież pootwierane; wszędzie pełno biesiadników i służby. Festony z liści i kwiatów każdą ścianę zdobią; stoły błyszczą od mnóstwa naczyń srebrnych, a uginają się od obfitości jada i napoju. Podłogę skropiono wonnościami i zieleń pachnącym potrząśnięto. Aż dusi od woni krzepkich, między którymi nie brak i drogocennej kamfory. Na szczęście odemknięto okna od ogrodu. Wpływają nimi fale świeżego powietrza i rozgrzane winem policzki rozkosznie muszczą<sup>233</sup>.

W jednej z dalszych komnat gra kapela. Dźwięki jej, zanim o uszy biesiadników uderzą, cedzą się w pierw przez grube mury i opony fałdziste. Daje im to lotność i subtelność, pozwala wnikać w każdy zakątek, nie głuszając rozmowy i nerwów nie drażniąc.

Do zachodu słońca jeszcze daleko, a już biesiada od czterech trwa godzin. Właśnie przed chwilą służba po raz piąty dania odmieniła. Przyszły na stół wety. W wielkich, srebrnych koszach przydźwigano sterty owoców, zagranicznych przeważnie; z ostrożnością nadzwyczajną ustawiono piramidy ciasta słodkiego; podano krople, marcypany, bijanki, a także smażenia różne; miejsce zaś mocnych tokajów zajęły słodkie wina hiszpańskie i włoskie.

Zbliża się koniec biesiady, mający być zarazem początkiem właściwej uroczystości.

Balcer Szeliga jedynaczce swej zrękowiny wyprawia.

Powrócił on szczęśliwie z peregrynacji dalekiej, bogactw wszelakich zwiózłszy obfitość. Część ich, w porcie gdańskim z okrętu wyladowana, nadpłynęła już do Warszawy wodą; reszta, na wozach ciężkich, nadciąga powoli gdańskim traktem, przez sługi zbrojne eskortowana.

Uciecha wewnętrzna opromienia dostojne oblicze starego kupca, który przy stole największym ugascza od serca wybranych gości.

U stołu tego kupiectwo Starej Warszawy miejsca zajęło. Dużo tu twarzy cudzoziemskich, dużo czupryn trefionych, z głowami golonymi pomieszanych, wspólne jednak znamię powagi, statku i serdeczności upodabnia wszystkich do siebie niby członków jednej rodziny.

<sup>233</sup>muszczą — dziś: muskają. [przypis edytorski]

Wszędzie błyszczą łańcuchy złote, sobolowe bramowania szat, zapinki z kamieni drogich i sygnety tak wielkie, że często knykieć zasłaniają cały.

Na miejscu najwyższym siedzi kapłan. Stary to przyjaciel domu Szeligów, ciotki Ofki dawny spowiednik. Błada, ascetyczna twarz jego rażąco odbija od pełnych i zarumienionych policzków mieszczaństwa; czarna szata wykreśla się plamą ponurą na różnobarwnym tle strojów i klejnotów.

Nieopodal od księdza zasiadła para zaręczyc się mająca. Basia w perłach na głowie i na szyi, w powłóczystej sukni z aksamitu modrego, na której błyszczą wielkie, prawdziwym srebrem wyszywane lilie, podobniejsza jest niż kiedykolwiek do anioła z malowanych gotyckiej świątyni okien. Wbrew zwyczajowi oczów swych ogromnych rzęsami nie nakrywa, ale trzyma je otwarte, blaskiem napojone i patrzące przed siebie w jakiś obraz daleki a cudny, którego inni nie dostrzegają...

Giana stroi jedwab i aksamit. Barwy: fioletowa i gorąco żółta w ubiorze jego przeważają. Piękny jest, szatańsko piękny, choć dziwna, marmurowa, trupia niemal błądź twarz mu pokrywa. Oczy jego wyrażają zachwyt z przestraczem zmieszany. Nadmiar szczęścia trwożyć go się zdaje i przygniatać...

Tuż zaraz siedzi i ciotka Ofka — w młodą parę jak w tęczę wpatrzona. Zwykła surowość ustąpiła na dzień dzisiejszy z twarzy jej i z ubioru. Suknię ma barwy perłowej, czarnymi naszyciami omroczoną; na głowie takiż czepeczek, wąskim, złotym sznurkiem bramowany.

Dobruchna w innej komnacie, przy stole dla „familiarów”, miejsce dostała i rządy gospodyni pełni.

Ale o wiele bardziej uderza brak innej, niezbędnej w tym gronie osoby. Wśród biesiadników na próżno upatrujemy stryja narzeczonej: Jana Szeligi. A gdyśmy już nieobecność tę dostrzegli, widoczną staje nam się jedna okoliczność: brak zupełny członków magistratury — rajców, ławników, gminnych. Jakże rodzinne święto patrycjusza warszawskiego obyć się bez nich może?

W tej chwili jednak słowa, z którymi się gospodarz do sąsiada swego zwraca, fakt ów dziwny tłumaczą.

— Kumie Macieju — mówi Balcer, posuwając kosz z owocami do czerwonego jak piwonii mieszczanina — jak myślicie: rychło dziś „porządki” sąd swój ukończą?

— Już by skończyć powinni — odpowiada zapytany. — Wszakże to tylko *iudicium expositum*. Chyba że akta względem donacji<sup>234</sup> i innych zapisów działają...

— Niechby choć na samą ceremonię zdążyli!...

Tu wmieszał się do rozmowy kupiec o dużym, orlim nosie i surowym wyrazie twarzy.

— Gdyśm szedł tutaj — rzecze — gadano, że się dziś na sądzie wójtowsko-ławniczym nie skończy. Ma być jeszcze, *iudicium emptum*.

— *Emptum*? — powtarza pierwszy. — Zaszło więc coś nadzwyczajnego!...

Koniec rozmowy w gwarze ogólnym utonął.

Jeżeli jednak braknie towarzyszy stryjka Jana, obecni są natomiast kamraci Baldiego. Prawie cała kapela dworska stawiła się w komplecie. Grajków zwyczajnych nie dopuszczono do kompanii z patrycjuszami; wyjątek zrobiony jest tylko dla Luki i Fabia.

Obaj oni dzielnie potykają się z zasobami mieszczańskiego stołu. Ale gdy gruby cytrzysta sprawia zastrasające spustoszenie wśród mięsów i ciasta, chudemu fleścić się na ugaszenie okropnego pragnienia wszystkich flasz, dzbanów i gąsiorów zda się za mało. Rzekłbyś, że to wskrzeszona ruina Tyberiuszowego<sup>235</sup> wodociągu, przez którą cały Tyber cieczy wszelakich przepuścić by można...

Kielichy krążą coraz gęściej, wiwaty następują po wiwatach, policzki stają się podobne różom, a oczy brylantom. Chwilami to ten, to ów z dykteryjką jakąś występuje, zatrzymując na niej przez chwilę uwagę ogólną. Potem wezbrana fala głosów zagłusza go i znów nad wszystkim hałas panuje niesforny.

— Muszę też opowiedzieć waszmościom zdarzenie jedno, jakie czasu peregrynacji swej miałem...

<sup>234</sup> *donacja* (z łac.) — darowizna. [przypis edytorski]

<sup>235</sup> *Tyberiusz* — Iuliusz Caesar Tyberius, 42–37 p.n.e. cesarz rzymski. [przypis edytorski]

Tymi słowy sam Balcer Szeliga doprasza się u zgromadzenia chwil paru uwagi. Milkną śmiechy i gwary, a stary kupiec, brodę głaszcząc wachlarzowatą, prawicę poczyną:

— Bawiłem właśnie w onym mieście cudnym, co się zwie Wenecja. Dla nawalności morskich bawiłem nawet dłużej, aniżelim był zamierzył. Czas mi się już dłużyć zaczął i nieraz mglenie przykre czułem, bo Mazurowi na twardym gruncie urodzonemu patrzeć ciągle na wodę niezdrowo. Na wiatr pomyślny czekając, błąkiwałem się często nocami nad morzem i w uliczki się one, kręte a wążiuchne, zapuszczał — ile że noce wenecjańskie na podziw są piękne, a ja prócz kupców kilku żadnym znajomości tam nie miał. Jednej nocy takiej patrzę, aż na mostku samotnym stoi białogłowa i w wodę rzucić się zabiera... „Jezus! Maria! — krzyknę. — Co robisz, niewiasto!” Jedną ręką łap ją za ramię, drugą za suknię — przytrzymałem. Oj! Wijeże mi się ono niebożątko w ręku jak piskorz i wyslizgnąć się stara — nie puszczam. W gniew wpada, drapać i kasać poczyną — ja nic. Nareszcie krzyczy: „Coś za jeden? jakim prawem?” „Chrześcijanin jestem — odpowiadam — a zaś prawem moim, prawo Chrystusowe”. „Obcys — mówi znowu — co ci do mnie? Mąż własny mię rzucił, to cóż obcy ratować ma?” „Mnie nic do tego; obowiązek spełniam, i dość”. I z mostu ją niosę. Poznała cudzoziemca. „Skądś ty? — pyta. „Z Polskim, z Warszawy” — tłumaczę się. „*Polacco! Varsovia!*<sup>236</sup>” — krzyknęła i płacze. Posadziłem ją na ławce jakiejś, utulam — aż ta szalona zrywa się, za pierś mię chwyta, i... „Mężaś mojego widział?!” — w samo ucho krzyczy. Ledwie ją uspokoił. Ale to początek dopiero. Nabrało biedactwo ono do mnie zaufania. Więc dalej spowiadać się. Mąż ją rzucił w rok po ślubie. Z drugim jak sam łotrem w świat się puścili. Doszła, że do Warszawy...

— Do Warszawy? — powtórzyły przy stole głosy zadziwione.

— Tak rzekła. Dodała jeszcze, że ją mąż z odrobiny mienia, jakie po ojcu wzięła, odarł i z dzieckiem małym na głód i nędzę rzucił. Wreszcie prosiła, by jej w odszukaniu nędznika pomóc. Powiedziałem: zgoda. Ocaliwszy jejmościankę od śmierci wypadła ją i od losu obronić. Przyniosła mi na drugi dzień papiery różne, dowody urzędowe, akt ślubny, rysopis męża — wszystko w porządku, jak się patrzy. Dopomogłem niebożęciu, ilem mógł. Głównie żał mi było dzieciątka, którem widział w łachmanach, chudziutkie od głodu i jak wosk żółte...

Zamyślił się smutno, jakby mu własne słowa cieniem na serce padły.

— I jakież historii onej żalostnej zakończenie? — spytał z drugiego końca stołu kapłan.

— Jeszczeć go dotąd nie ma — odrzekł Szeliga. — Może da Bóg jednak, że będzie. Papiery zaraz po powrocie w Ratuszu złożyłem. Marszałkowim również o nich doniosł. Niewiasta mówiła, że lotry one na żółd królewski zaciągnąć się mieli...

Opowieść gospodarza chłodu nieco między gości rzuciła. Na twarzach odmalowało się zafasowanie. Aby je odgonić, nowe dzbany przynieść kazał Szeliga. Wino zwyciężyło „melankolię” i znów gwarem i śmiechami napelniła się komnata.

Ale w tej chwili kapłan dał znak — i uciszono się.

Przypomniwał on, że czas pierścionki mieniać.

Gospodarz skinął w stronę służby, kupiącej się w progę, i zaraz z pośrodku niej wyszedł karzełek niosąc na złotej tacy dwa sygnety kosztowne. Jednocześnie pokojowców dwóch rozesłało na podłodze miękkie, aksamitne poduszki.

Kapłan podniósł się i nad pierścionkami cicho zmówił modlitwę. Potem obłubieńcom dał znak, aby się zbliżyli. W komnacie cisza się zrobiła, jakby anioł przeleciał. Cisza ta i do dalszych komnat przeszła, niosąc z sobą wszędy milczenie i powagę. Nawet dźwięki oddalonej kapeli umilkły, jakby rozplywając się w powietrzu...

Basia i Giano, miejsca swe opuściwszy, szli właśnie ku poduszkom, gdy w sieniach słyszeć się dał nagle hałas jakiś nieskromny. Widoczne było, że ktoś wtargnąć chce do mieszkania, służba zaś go nie puszcza. Hałas, nagle wybuchnąwszy, umilkł potem na chwilę, do komnaty zaś wbiegł sługa Szeligów i panu swemu szeptać jął coś na ucho...

Namarszczyła się i poczerwieniała twarz starego mieszczanina, zarazem podziw i gniew wyrażając. Podniósł się on z miejsca i gości przeprosiwszy, wyszedł za sługą do sieni.

<sup>236</sup> *Polacco! Varsovia!* (wł.) — Polak! Warszawa! [przypis edytorski]

Kapłan ceremonię przerwał. Giano odprowadził narzeczoną na miejsce. Wszyscy w milczeniu przykrym na koniec niepożądanego *intermezza*<sup>237</sup> czekali.

Długo bawił gospodarz z dala od biesiadników. Podczas jego nieobecności szmer głuchy komnaty sąsiednie obiegał. Wstawano od stołów, do okien się ciśniono, przez drzwi otwarte głowy ciekawe wychylano...

Wreszcie wrócił.

Namarszczenie z czoła mu nie zeszło; nie czerwony już jednak był, jeno blady.

Krokiem powolnym do niewiast zbliżył się i prosił, aby na chwil parę do komnat swych odeszły. Posłuchały. Żadna nie spytała nawet: dlaczego? Pytania w zwyczaju ówczesnym nie były. Niewiasty mogły dziwić się, gniewać lub ciekawości doświadczać szalonej; żadne z tych uczuć w słowa nie przeszło.

Oddaliły się kornie, cicho, z lekkim szat powłóczyстых szelestem...

Gdy zniknęły, stary Szeliga powstał chwilę w miejscu, jakby siły zbierając, potem wsparł się rękoma o stół i głosem uroczystym wyrzekł:

— Waszmościów moich najmiłościwszych, panów braci a kumów proszę, aby cokolwiek tu się teraz dziać będzie, w milczeniu to a w neutralności zupełnej przyjęli...

Szmer przeszedł po kompanii — ucichł jednak prędko, milczącemu niepokojowi ustępując.

Szeliga obrócił się do sługi i rzekł:

— Niech wnijdą<sup>238</sup>.

Wówczas wśród ciszy głębokiej, którą by śmiertelną nazwać było można, rozegrał się szereg scen, których dom ten nigdy dotąd świadkiem nie bywał...

Najpierw słyszeć się dał szcęk halabard i liczne, ciężkie kroki, które przed progiem komnaty ucichły. We drzwiach ukazał się sługa miejski w granatowym, oficjalnym ubiorze, w żupanie pod bekieszą czerwonym, przy szabli, w czapce na głowie, której wchodząc nie zdjął.

Wystąpił na środek krokiem mierzonym, dobył z zanadru pergamin i w górę podniósłszy, trzykrotnie nim potrząsnął. Przy pergaminie wisiały dwie duże pieczęcie. Jedna miała na sobie wyobrażenie syreny uzbrojonej, na nogach nietoperzowych i z nietoperzowymi skrzydłami. Była to pieczęć Magistratu Miasta Starej Warszawy. Druga była marszałkowska.

Po tym wstępie człowiek ów głosem doniosłym zawołał:

— W imieniu prześwietnego Starej Warszawy Magistratu! W imieniu szlachetnego i przecznego Burmistrza, sławetnych kół: Radzieckiego i Ławnickiego, oraz Dwudziestu Mężów Gminnych! Z wiadomością i za zgodą Jaśnie Wielmożnego Marszałka Wielkiego Koronnego i z przeproszeniem obecnych tu Ichmościów!

Odetchnął — i mówił dalej:

— Jako okazało się na przyjeździego mieszkańca Starej Warszawy, cudzoziemca, Fabio Carapazzi rzeczono, iż tenże Carapazzi, z pogwałceniem praw gościnności, na szkodę miasta i całej Rzeczypospolitej, oddaje się niedozwolonemu i owszem bezecnemu rzemiosłu fałszowania monety — wzywa się przeto onego cudzoziemca, aby się sam, niechybnie a dobrowolnie, w ręce sprawiedliwości wydał dla postąpienia z nim wedle prawa naszego miejskiego a oraz koronnego.

Zatrzymał się i papierem na Fabia wskazując, zawołał:

— Fabio Carapazzi! Oto ci mówię: wystąp!

W tej chwili Fabio lisim krokiem znalazł się przy oknie i pchnął je tak mocno, że szyby z brzękiem wypadły.

Mówca odwrócił się za siebie z komendą:

— *Imać*<sup>239</sup>!

Pachołków kilku rzuciło się na grajka. Po krótkim szamotaniu obezwładniony został i związany. Wyciągnięto go za próg, zgrzytającego zębami i miotającego straszne przekleństwa.

<sup>237</sup>*intermezzo* (wł.) — przerwa (między częściami utworu a. przedstawienia). [przypis edytorski]

<sup>238</sup>*wnijsić* (daw.) — wejść. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>*imać* (daw.) — dotykać; tu: brać, ująć. [przypis edytorski]



Halabardy ponownie zabrząkły<sup>240</sup>, ciężkie obuwie zastukało i zbrojna kompania dom opuściła.

Po jej odejściu grobowa cisza zaległa komnatę. Nikt nie śmiał się odezwać. Wszyscy stali jak rażeni piorunem, bez oddechu, z niemymi ustami i wzrokiem w ziemię wbitym.

Ale nie wyszło pięciu minut: znów hałas u drzwi, znów brzęk halabard, znów butów kowanych<sup>241</sup> stukanie...

Ten sam człowiek, co wprzód, na środek wystąpił, tak samo papier wydobył i takim samym ruchem solennym<sup>242</sup> w powietrzu nim potrząsnął...

I znów rozległa się inwokacja:

— W imieniu prześwietnego Starej Warszawy Magistratu! W imieniu szlacheckiego i przeznaczonego Burmistrza! W imieniu sławetnych kół: Radzieckiego i Ławnickiego oraz Dwudziestu Mężów Gminnych!

Dreszcz przeszedł zebranych. Oczyma na całą szerokość otwartymi wzajemnie badać się jęli...

On tymczasem wśród ciszy głębokiej czytał z papieru:

— Jako okazało się na przyjeźdnego Starej Warszawy mieszkańca, cudzoziemca, Paolo Rufiani rzeczono — który to Paolo Rufiani przezwiska Giano Baldi fałszywie zażywa — iż on małżonkę swą ślubną w mieście Wenecji porzuciwszy i owszem okradłszy, dom szlacheckiego i przeznaczonego mieszczanina i kupca warszawskiego przez zbrodnię dwużeństwa sromotą chciał okryć — wzywa się przeto onego cudzoziemca, aby się sam, niechybnie a dobrowolnie, w ręce sprawiedliwości wydał, dla postąpienia z nim wedle prawa naszego miejskiego a oraz koronnego.

Papier przed się wytknął i zawołał:

— Paolo Rufiani! Oto ci mówię: wystąp!

Wszystkie oczy obróciły się na Giana.

Stał on w miejscu, jak trup błądy, ale wyprostowany i wyzywający. Na ustach miał uśmiech szydery.

Sługa miejski dwukrotnie jeszcze wezwanie powtórzył. Młodzieniec nie ruszał się z miejsca. Wówczas rozległa się komenda:

— Imać!

Chłopy uzbrojone wtargnęły do środka. Ale zanim jeszcze ręka któregośkolwiek zdążyła dotknąć młodzieńca, runął on nagle na ziemię, jak kosą podcięty.

Na lewej piersi upadającego błyszczała niewielka główica sztyletu.

Pachołkowie stanęli w miejscu, przerażeniem zdjęci.

Ani jeden z obecnych nie ruszył rannemu z pomocą.

— Imać! — rozległo się powtórnie.

Nowych kilku wpadło. Ciężkie, grube łapy dźwignęły pięknego Włocha w górę. Gdy go wynoszono, głowa w tył opadła, oczy bielmem zasły, a z ust, wraz z ostatnim westchnieniem, wybiegło jedno tylko słowo — nie wiadomo — polskie czy włoskie:

— Barbara!...

\*

Płomień lampy, w zielonym szkle uwięziony, martwo oświetlał dziewiczą komnatę. Basia, z rozpuszczonymi włosami, tak biała, jakby ją z alabastru wykuto, tak powiewna, jakby skrzydła serafowe u ramion jej drżały, modliła się czy też rozmyślała tylko, wsparta bezsilnie na klęczniku...

Głucha cisza panowała dokoła.

Przerwał ją kapłan, długą naukę kończąc słowami:

— Dopiero wychyliła się na świat, dziecię moje. Pierwsza burza złamać cię nie mogła. A jeśli z drzewa twojej szczęśliwości kwiatów kilka opadło, nie trwóż się: inne na to miejsce wyrosną. Jeszcze życie długie przed tobą; jeszcze i pociechę w nim znajdziesz...

Basia podniosła na mówiącego swe wielkie, bławatkowe oczy.

— Już znalazłam — głosem spokojnym rzekła.

<sup>240</sup>zabrząkły — dziś: zabrzączały. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>kowany — tu: podkuty. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>solenny — tu: uroczysty. [przypis edytorski]

I dłoń białą na książce oparła.  
Książka miała tytuł: *De imitatione Christi*.

## DOPISEK

W rok później odbyły się dwa śluby.

U Świętego Jana, przed ołtarzem Trzech Króli, jejmościanka panna Dobra Kalinowska poślubiła imci pana Bolesława Szczerba, jazdy lekkiej rotmistrza.

W klasztorze zaś Panien Bernardynek, za Bramą Krakowską, jejmościanka panna Barbara Szeliżanka, suknię zakonną przywdziawszy, poślubiła — Chrystusa.

Przedtem zaś jeszcze z rąk świętobliwej dziewicy sumy znaczne dostały się biednym Starej i Nowej Warszawy wraz z przedmieściami, kościół zaś otrzymał zapis na żałobną wotywę<sup>243</sup> za duszę śp. Jerzego Zawisłaka, corocznie w dniu jego śmierci odprawiać się mającą.

---

<sup>243</sup>wotywa (z łac.) — msza odprawiana na czyjaś intencję. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/cudna-mieszczka>

Tekst opracowany na podstawie: Wiktor Gomulicki, *Cudna mieszcza. Obrazek warszawski z wieku XVII*, wyd. Nasza Księgarnia, Warszawa 1968.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0238-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).